10 stron

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 2 sh

NUMER JUBILEUSZOWY (250)
I WIELKANOCNY, zamykający piąty rok istnienia „ŻYCIA"

ROK VI. Nr 14/15(250/51)

LONDYN, 6-13 KWIETNIA 1952 R.

KS. WŁODZIMIERZ CIEŃSKI

ZMARTWYCHWSTANIE

Sanhedryn żydowski nie dowierzał słowom zapowiedzi Skazanego: „trzeciego dnia zmartwychwstanę". Niedowierzanie głuszyło ich obawy, ale pobudziło do działania chytrość i przezorność, która kazała grób pieczętować i stawiać straż grobu strzegącą.

Wiedzieli przecież, że On uzdrawiał, że umarłym życie dawał. Może się sprawdzi i to, co zapowiedział?

Po sabacie przerażeni strażnicy przyszli do „przedniejszych" i powiedzieli co się stało. Zmartwychwstał! Zaiste On zmartwychwstał!

Narada starszyzny nad tym, co robić.

Pozostają do wykorzystania dwa środki. Stare środki, szczególnie dobrze służące każdej zbrodni:

Pieniądz i propaganda kłamstwa. One potrafią — według mniemania zbrodniczych rządców — nie tylko zatuszować, ale zgnieść całkiem Prawdę, odwrócić rzeczywistość.

„I — mówi Ewangelista — oni (owi strażnicy) wziąwszy pieniądze uczynili, jak im kazano. I rozniosła się ta wieść wśród Żydów aż po dzień dzisiejszy" (Mat. r. XXVIII w. 11-15). Ten „dzień dzisiejszy" jest nie tylko dniem za życia Ewangelisty piszącego te słowa, ale dniem dzisiejszym naszych czasów.

Jest i dziś dalszy łańcuch głosów strony hebrajskiej z pierwszych i późniejszych wieków, próby udawadniania, że Chrystus nie istniał, lub że jest tylko w pełni żydowskim „rabbi" i próby stawiania zarzutu — tezy, że św. Paweł jest twórcą teologii, w której niejako stwarza Chrystusa, wznosząc Go na wyżyny Boga.

Nieraz zdarza się odnawianie tych argumentów, które nie mogą się jednak oprzeć poważnym, spokojnym dowodom najlepszej „jakości" naukowej, których Kościół używa dla poparcia i obrony wiary, że Chrystus zmartwychwstał.

Nieczystość serc żydowskich zniekształcała narodowość, czystą perłę w duszy człowieka, perłę, która ma moc zbawiennego działania pod warunkiem, że zachowa w sobie pełną myśl Bożą, wlewającą tę moc w dusze ludzkie.

Narodowość, ów pierwiastek Bożej myśli, mający miłością grupować ludzi w życiu zbiorowym, przybiera różne potworne i karykaturalne kształty groźne i dla narodów i dla ludzkości.

Naród ma pielęgnować rozwój stylu swego życia zbiorowego dla dobra ludzkości. Mrzonką szkodliwą i paczącą myśl Bożą, wpojoną w ideę narodu, jest jakaś mglista, nierealna idea roli poszczególnych narodów wśród ludzkości — idea międzynarodówki.

Egoizm narodowy, jak każdy egoizm, wiąże się nie tylko z pychą, która odrzuca miłość, ale i z nienawiścią, niszczącą sam pierwiastek narodowości. Gdy się rozpleni egoizm narodowy, wówczas zabraknie troskliwego opiekuna sprawiedliwości i obowiązku wśród jednostek, narodów i wśród ludzkości, wtedy zjawi się to, co dziś widzimy: groźba zagłady prawdziwej kultury i pożytecznej cywilizacji, zagłady przez ostateczne zniszczenie.

Żydowski naród wybrany, związany z myślą mesjańską, którą miał zanieść nieskażoną całemu rodzajowi ludzkiemu, zniekształcił siebie tak, że „nie poznał czasu swego nawiedzenia", nie przyjął Tego, na Którego czekał i czeka jeszcze, choć On już jest.

Judaizm, ów spaczony nacjonalizm, zgniótł pokorną postawę narodu wybranego wobec planów boskich, a wyniósł pychę i egoizm, które zakreślały kręgi władztwa nad wszystkimi ludami świata poprzez Króla-Mesjasza.

Króla-Mesjasza judaizm spodziewał się i wyczekiwał Go, a przyszedł z miłością ku wszystkim, by wszystkich na równi prowadzić do swego królestwa, judaizm zawiódł się w swych nadziejach. Na śmierć krzyżową skazał Króla-Mesjasza własny jego naród.

Skazany umarł, — ale zmartwychwstał.

Ten fakt trzeba zgubić i przerobić na legendę za pomocą pieniędzy i rozpuszczania kłamstwa. Tego się domaga idea judaizmu i kapłani dzierżący władzę.

Przerażona Zmartwychwstaniem Synagoga w Jerozolimie działa i pisze przeciw Zmartwychwstaniu, a za nią idą ci, którzy w różnych epokach chcieli i chcą wydrwić, wykłamać, lub tylko „wytłumaczyć" głoszone przez chrześcijan jako fakt rzeczywisty Zmartwychwstanie.

Lista ich jest bardzo długa, ale wystarczy parę nazwisk. Samuel Reimarus w 1778 r. uważa, że ciało Chrystusa wynieśli Apostołowie. Gottlob Paweł (1761-1851 r.) uważa Zmartwychwstanie za parodniowe odżycie, po którym przyszła definitywna śmierć. Podobnież Albert Reville i wielu, wielu innych.

Z tymi atakami idzie w parze zniekształcanie tekstów Ewangelii, dowolne tłumaczenie okoliczności, różne przypuszczenia, aż do przypuszczeń o halucynacji tych, którzy twierdzili, że widzieli Zmartwychwstałego.

Były i są inne jeszcze formy prób zniszczenia Prawdy o Zmartwychwstaniu. Występuje tu siła władzy, tej złej władzy.

Męczeństwo chrześcijan w pierwszych wiekach, to dzieło władzy, która broni siebie, broni swego państwa, broni swego światopoglądu i całej tradycji pogańskiej poprzednich wieków.

Ta pogańska władza nie miała i mieć nie mogła kontaktu i związku z prawdziwym Bogiem. Może ona nieraz i uznawała jakieś siły nazywając je bogami, ale siły te nie miały mocy uświęcania władzy tak, by mogła „dobrze czynić",

W pierwszych wiekach Dobrej Nowiny Chrystusowej szatan używa swych wpływów na władców. W walce z Chrystusem stosuje dwa środki, które są przejawem wpływów szatana, środki skuteczne: są nimi kłamstwo i zabójstwo. Działają one od Heroda poprzez wieki prześladowań aż po czasy Tryumfu Krzyża, w którego blasku dopiero władcy mogą zdobyć naukę rządzenia na wzór największego Króla — Chrystusa.

Ale jednak szatan, który w świetle nauk Ewangelii nie jest symbolem, ale rzeczywistością, jest zbuntowanym przeciw Bogu aniołem z wszystkimi cechami swej natury anielskiej, dziś złej wskutek buntu, deprawując umysły w XVII wieku, doczekał się rozdziału Kościoła od państwa, które znowu władzę świecką odrywa od wszelkiego związku z Namiestnikostwem Chrystusowym i jego biskupami i dziś tak jaskrawo widzimy te jego zatrute owoce.

Państwo dzisiejsze ma w ręku udoskonaloną technicznie możność kłamania, wracają masowe morderstwa pod osłoną wyroków sądowych. W miejsce sprawiedliwości wyroki wydaje potworne kłamstwo procedury sądowej, posługujące się całym aparatem zakłamania i fałszywych zeznań i zamiast rozdzielać sprawiedliwość, jak to jest zadaniem sądu — jest rozdawcą najpotworniejszych krzywd,

Taki to sąd skazał Chrystusa, Na podstawie takiego wyroku poniósł On śmierć, ale zwyciężył tak kłamstwo, jak i moc śmierci — zmartwychwstając.

— — — — — — — —

Dla potępienia Chrystusa nie tylko potrzebna była przewrotność Sanhedrynu i słabość Piłata, potrzebny był tłum ślepy, posłuszny a bezrozumny. Tłum, który stał się oskarżycielem publicznym Chrystusa, żądając Jego śmierci, idąc za czyimś cichym rozkazem. Tłum wołał o śmierć dla Tego, Którego nauka, czyny, moc czynienia cudów i dobroć zachwycała i napawała entuzjazmem te same tłumy.

Przyczyna tego leży w sile uczuć i instynktów nie kierowanych umysłem, leży w braku charakteru u każdej jednostki w tym tłumie.

I dziś także szatan i jego słudzy dążą do wychowania jak największych tłumów i mas bez woli i bez rozumu. Wiedzą, że tłumy te staną się oskarżycielem Chrystusa na każde skinienie ukrytych władców, którzy umieją myśleć, kombinować i rządzić, ale mocą ciemnych sił i przewrotnych ustaw.

Tymczasem Chrystus na krzyżu jako „baranek" ofiarny zdobywa dusze poszczególne. Duszę, której źródłem jest twórcza moc Boga a tym samym duszę, będącą czymś tak pięknym i tak doskonałym, że mimo dobrowolnego buntu jej przeciw Ojcu, Ojciec opieką otacza marnotrawne dziecko.

I od Krzyża idzie potęga odnowienia godności każdego człowieka i moc rozumnej wolności. Wołania o prawa człowieka rozlegają się w naszej epoce najstraszniejszego pogwałcenia godności człowieczej istoty.

W czymże leży zasadnicze prawo godności ludzkiej?

Leży ono w celu, jaki Bóg wyznaczył każdemu człowiekowi wszystkich czasów. Człowiek ma znaleźć Boga, ma iść do Boga i ma do Boga przyjść.

Nie ma na ziemi takiego dobra i takiej mocy, które by od ludzkiej jednostki mogły żądać odstępstwa od Boga lub wyrzeczenia się Boga i własnego celu istnienia.

Człowiek siebie znajdzie jedynie i wyłącznie w Chrystusie Zmartwychwstałym po męce i śmierci. Tu jest godność, prawo i cel człowieczy.

Zmartwychwstały Chrystus mocą zwycięstwa nad śmiercią i złem jest życiem każdego człowieka. Oznajmił to w słowach: „Jam jest... Życie".

— — — — — — — —

Zmartwychwstanie jest rzeczywistym faktem historycznym. Solidna, na Prawdzie budowana nauka w Kościele daje podstawy wiary i obrony wiary dostarczając dowodów od zarania swych dziejów. Nauka ta wskazuje nie tylko na nieomylne dane Ewangelii i pism Apostolskich, ona wyzyskuje i wskazuje także na wczesne piśmiennictwo apokryfów i na solidne dane naukowe Ojców Kościoła, pilnie strzegąc w badaniach prawdy i czystości metod i środków

Kościół przeto nie boi się takich zarzutów, jak zarzuty Renana, który dzięki swej tezie i piękności stylu stał się poczytny. Czy tak samo poczytny będzie znany katolicki pisarz Daniel Rops, nie ustępujący pięknością formy Renanowi w dziele „Życie Chrystusa"? Zapewne — nie. Niejeden spotkał się z drwiącym zdaniem: „Taki jesteś zacofany. Nie znasz dzieł Renana". Czy podobne zarzuty usłyszy kto na temat Daniela Ropsa?

— — — — — — — —

B[illegible] ręka, ni[illegible] zwrócą chrześcijanina ku Krzyżowi, ku sztandarowi, który jest znakiem zwycięstwa nad złem i śmiercią, znakiem, z którego płynie siła i moc nadziei, znakiem, który przede wszystkim odsłania sens cierpienia przytykającego każdy żywot ludzki na ziemi.

Ogromnym ciężarem przytłaczającym nasz naród był ból z powodu utraty wolności i prawa do życia przez rozbiory, a następnie przez klęskę powstania 1831 r. Ból ten rodził potęgę duchową Polaków, w tym okresie piszących i śpiewających o Polsce i o drogach do niej wiodących ówczesne pokolenie i pokolenia późniejsze.

Chrystus był często na ustach zrozpaczonych, a jeden z bliskich towarzyszów Adama Mickiewicza, Bohdan Jański przy udziale księży Piotra Semeneńki i ks. Kajsiewicza położył podwaliny zgromadzenia zakonnego oo. zmartwychwstańców by zebrać nowe szeregi sług bożych dla odrodzenia i naprawy, które płyną ze Zmartwychwstania.

I dla nas dziś w nowym poniżeniu narodu polskiego przez rozbiór i okupację sił, nienawidzących Boga i Chrystusa, jedyną siłą jest żyć odrodzeniem, które spłynęło w nurt życia ludzkiego zwycięstwem nad złem przez moc Zmartwychwstania.

— — — — — — — —

Oto zdarzenie z pierwszych czasów rewolucji bolszewickiej.

W Moskwie na wielkim zebraniu w obecności Lenina po wyczerpaniu programu pozwolono każdemu, kto się zgłosił, przemawiać przez 3 minuty. Na mównicę wszedł brodaty „towariszcz" w nędznym stroju i zawołał: „Chrystos woskres" („Chrystus zmartwychwstał") a całe zebranie gromkim głosem odpowiedziało: „Woistenno woskres" („Zaiste zmartwychwstał"").

Dzisiejsze święto Zmartwychwstania winno też dla całej ludzkości poprzez wiarę naszą i nasze życie zagłuszyć wszystkie zbrodnie życia ludzkiego i zbrodnie te nie tylko odpokutować promieniowaniem cnoty, ale uczynić ludzi godnymi własnego człowieczeństwa jako rozumnie dobrowolne sługi Tego, Który zmartwychwstał i Który sam jest Zmartwychwstaniem w nas i poprzez nas.

Christus Rex vincit, regnat, imperat.

Ks. Włodzimierz Cieński



Wit Stwosz *ZMARTWYCHWSTANIE* *Ołtarz Mariacki*

KS. WŁADYSŁAW STANISZEWSKI

ZBOŻNE SZALEŃSTWO

Trzeba było naprawdę wielkiej wiary w słuszność podejmowanego zadania i wiele świętego zapału, aby z wiosną 1947 roku, a więc prawie przed pięciu już laty, w czasie gdy cała nasza emigracja wojenna i powojenna była w ciągłym ruchu, w stanie urządzania się i rozmieszczania, aby wtedy właśnie postanowić i rozpocząć wydawanie katolickiego tygodnika dla emigracji. Był to wtedy jedyny tygodnik katolicki w Wielkiej Brytanii („Wiadomości Polskiej Misji Katolickiej" były miesięcznikiem) a przyszedł za żołnierzem polskim ze słonecznej Italii. Pismo to było wyrazem serdecznej troski Biskupa Uchodźców Polskich o potrzeby duchowe i religijne emigracji. Trzeba pamiętać, że bez środków zapewniających pismu spokojne istnienie i normalne warunki pracy, bez dobranego zespołu współpracowników, bez pewności poparcia czytelków, zaprzątniętych bez reszty podstawowymi sprawami ustalania warunków bytu i zatrudnienia, wśród wojennych ograniczeń panujących na angielskim rynku wydawniczym — projekt ten był, rozumując po ludzku, lekkomyślny, fantastyczny. Toteż ludzie trzeźwi, realni i przezorni nie szczędzili słów przestrogi. A jednak — jak się to miało niebawem okazać — w swoich celach i zamiarach, jak również w skutkach, było to szaleństwo zbożne.

* * *

Nazwa pisma ŻYCIE miała i ma przypominać wiecznie żywą prawdę o Chrystusie, który jest „Drogą, Prawdą i Życiem". Ma stawiać przed oczy, że pełnia życia człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boże, jest „przez Niego, z Nim i w Nim", w Jego Ciele Mistycznym, jakim jest Jego Kościół; ma przypominać, że w czasie poczęte życie człowieka trwa wiecznie; ma pouczać, że mimo epoki mas, człowiek, którego wojna zdeprecjonowała i wtrąciła na dno poniżenia, nie jest tylko liczbą w zbiorowości, numerem, kółkiem w maszynie lub materiałem dla statystyki, ale indywiduum, osobą wyposażoną w rozum i wolną wolę, naznaczoną boskim znamieniem szczególnej godności. Nosi w sobie tchnienie swego Stwórcy, iskrę Bożą. Przez Chrystusa, Pana naszego mamy życie i to obficiej (Jan. 10. 10).

Jedynym wyjściem z ogólnego bankructwa niezliczonych ideologij i prądów filozoficznych, które miały być receptami na zbawienie świata, i wyjściem z ogólnoświatowego kryzysu, jaki przeżywamy, jest powrót ludzkości do Dawcy życia, Boga Stwórcy, Chrystusa Odkupiciela i Ducha św. Oświeciciela. Powrót ten odbywać się może jedynie na drodze Prawdy Chrystusowej. A czy prasa może dopomóc do tego powrotu? Bez wątpienia może. Jak powiedział bowiem Namiestnik Chrystusowy do dziennikarzy w lutym Roku Świętego: „Prawda potrzebuje głosu, a najpotężniejszym, jaki mamy dziś, głosem dosięgającym szerokiej bubliczności, jest właśnie prasa".

* * *

Jak to nieraz bywa w życiu, gdy chodzi o dzieła nie mające na względzie chwały i korzyści osobistej, lecz wyłącznie chwałę Bożą i troskę o ugruntowanie i rozszerzanie królestwa Bożego, tak i rozrzucone ziarna inicjatywy wydawniczej apostolskim duchem ożywionych entuzjastów życia Bożego wśród emigracji polskiej nie padły na skalisty grunt obojętności. Gratia supponit naturam. W rzuconym haśle szukania w Chrystusie, w tym „Świetle świata" zagubionej busoli życia było tyle wyzywającej człowieka prawdy, tyle mocy i siły przekonania, tyle aktualnej i realnej porzeby chwili, że katolicki tygodnik religijno-kulturalny ŻYCIE z okresu kiełkowania wszedł w okres wzrostu i rozwoju. Wydawcy, których żenowało uzasadnianie Polakom potrzeby wydawania pisma katolickiego, mieli pełną rację wierząc ze św. Pawłem: „Jam zasadził, Apollo podlewał, ale Bóg dał wzrost" (I. Kor. 3, 6). ŻYCIE było potrzebne wtedy, jak jest potrzebne dzisiaj.

* * *

Niełatwe były pierwsze kroki wydawców ŻYCIA. Trzeba było pokonywać dużo oporów, wiele zdeptać progów i wysiedzieć krzeseł w poczekalniach. Co było najprzykrzejsze to pomyłki i błędy, które przypominały redaktorom, że są ludźmi tylko i uczyły pokory, a przede wszystkim zmora braku funduszu zakładowego i ciągłe głowienie się nad zaradzeniem kryzysowej sytuacji materialnej. Z ambon padały słowa zachęty pod adresem tych, którzy mogli naprawdę pismu pomóc. Trzeba otwarcie stwierdzić, że znalazło ono gorące poparcie u tych, dla których poziom pisma był za wysoki, którzy jednakże dobrze rozumieli potrzebę istnienia tego pokroju pisma katolickiego. Interesujące jest studium listy prenumeratorów „ŻYCIA" i nie dziwić się nam, że ktoś kiedyś słusznie powiedział, iż „prasa katolicka wchodzi do domów polskiej inteligencji kuchennymi schodami".

* * *

Dziś, z perspektywy pięciu lat, kiedy to z przyjemnością bierzemy do rąk 250 numer ŻYCIA, możemy śmiało stwierdzić,

że pismo to, przez stawianie polskiej inteligencji wobec katolickiej problematyki przyczyniało się do jej rozbudzenia intelektualnego;

że wysuwało liczne próby i przykłady katolickich rozwiązań niesionych przez epokę czasu zagadnień;

że zarysowywało doniosłość świadomego tworzenia wartości katolickiej kultury duchowej w naszym społeczeństwie uchodźczym.

Mogło się to dokonać dlatego, że przy ŻYCIU w sposób naturalny i zrozumiały zaczęły się skupiać katolickie pióra. Tygodnik ten dał polskim pisarzom nowy i wdzięczny warsztat pracy a młodym piękne pole do pierwszych prób i rozwijania talentów. Jeśli się dziś wie, ilu pisarzy polskich zagranicą marnuje się przez to tylko, że nie mają sposobu komunikowania się z czytelnikami i ile niedrukowanych artykułów i książek kryją szuflady, wtedy się w pełni ocenia doniosłość istnienia każdego poważnego wydawnictwa na emigracji.

Toteż gdy przewracamy karty tych pięciu roczników ŻYCIA i stawiamy sobie pytanie, czy warto było ponieść tyle trudów, wysiłków i kłopotów, aby się ukazało to wszystko w druku, odpowiedź musi być pozytywna.

* * *

Gdy jesienią 1848 roku dały się słyszeć głosy, że to bardzo pięknie, iż mamy takie pismo jak ŻYCIE, ale również a może pilniej potrzebny jest przystępniejszy dla szerokich kół czytelników tygodnik katolicki, zrobiono eksperyment i zaczęto pismo to popularyzować. I cóż się okazało? Podniosły się głosy protestu zarówno ze strony znacznej części czytelników jak i stałych współpracowników tygodnika. ŻYCIE wnet powróciło na swe dawne tory a kiełkować zaczęła myśl wydawania nowego pisma o charakterze bardziej popularnym i informacyjnym. Tak zrodził się projekt zawieszenia „Wiadomości Polskiej Misji Katolickiej" a wydawana „Gazety Niedzielnej", która ujrzała światło dzienne w dwa lata po ukazaniu się pierwszego numeru ŻYCIA.

Powstała ona i dlatego, że istniejące już ŻYCIE narzucało myśl drukowania go, nie jak dotąd w Belgii, lecz we własnej drukarni i że wielu czytelników coraz częściej zwracało uwagę na potrzebę wydawania książek katolickich, w których nabywaniu i wyborze na razie pismo musiało pośredniczyć. Ponadto równolegle do sprawy pisma narastała sprawa ocalenia od rdzy maszyn drukarni Biura Prasowego Biskupa Polowego i połączenia wszystkich wydawniczych inicjatyw katolickich w jednym ośrodku wydawniczym i kolportażowym.

Tak tygodnik ŻYCIE jak i ten nowy projekt znalazły uznanie i opiekę zarówno Polskiej Misji Katolickiej jak również młodego ruchu polskiej inteligencji katolickiej, skupiającej się w Polskim Katolickim Stowarzyszeniu VERITAS. Powoli, z trudem, ale stale i konsekwentnie dochodziło się do stworzenia KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO. Bez niego — jakkolwiek musi on jeszcze przejść dalsze fazy organizacyjne — trudno byłoby już dziś wyobrazić sobie życie polskich katolików w tym kraju, a nawet i w wielu innych, dokąd książki i pisma z tego Ośrodka stale docierają.

* * *

Czy się jednak owo pobożne szaleństwo wydawania tygodnika katolickiego dla inteligencji skończyło rozrostem Ośrodka?

Nie jest tajemnicą dla nikogo, że wydawanie pisma tego typu co ŻYCIE nie jest imprezą dochodową. Jako jedna z agend Ośrodka nie przestało ono być przedmiotem ciągłych trosk. Jest pozycją kosztowną i trzeba do niej dopłacać. Nakład jest bowiem wciąż za niski w stosunku do opłacalności jego podstawowych kosztów.

Oczywiście można dyskutować na temat sprawy bardziej istotnej, jaką jest sposób redagowania pisma. Gdy porównywam roczniki ŻYCIA, widzę że n.p. w roku ubiegłym było pewne wyraźne i nie tylko formalne przesunięcie w kierunku publicystyki, prozy literackiej i felietonu, nie zawsze ściśle związanych z kulturą katolicką i można by wprowadzić więcej tematyki katolickiej, która się zresztą wyraźniej zarysowuje znów w tym roku. Ale oddajmy głos postronnym. Zdarzyło się bowiem, że pewien inteligent był zmuszony do starannego przestudiowania roczników ŻYCIA dla zbadania pewnej interesującej go sprawy. Gdy po przewertowaniu ich zwracał je właścicielowi, oświadczył, że nawet nie przypuszczał, iż mamy na uchodźstwie polskie pismo katolickie na takim poziomie i zajmujące się zagadnieniami tej miary i wagi. Ktoś inny znowu, przeglądając stale tygodnik, zauważył, że nie spotkał pisma na emigracji pozwalającego tak lojalnie w dyskusji na przedstawienie i oświetlenie punktu widzenia oponentów, jak właśnie ŻYCIE. Niech mi więc będzie wolno te niedyskrecje napisać właśnie w dniu jubileuszu ŻYCIA.

* * *

Na niedawno odbytym zjeździe katolickim w Londynie zauważył ktoś słusznie, że jakkolwiek nie jest rzeczą dziwną, że ludzie nie posiadający praktyki czytania, zamiast „Gazety Niedzielnej" czytają n.p. „Dziatwę", to jednak jest zastanawiające, że ludzie mający wszelkie warunki, aby czytać ŻYCIE — czytają wszystkie wydawnictwa „łatwiejsze". Aby urobić sobie obiektywny a więc sprawiedliwy sąd o ŻYCIU i poruszanych na jego łamach problemach, trzeba pismo to czytać nie dorywczo, okazyjnie, ale stale.

Możemy i powinniśmy wpływać na sposób redagowania pisma, które przecież uważać musimy za swoje, za własne. Możemy i powinniśmy stawiać wymagania, z którymi się każda redakcja zawsze liczy, zachowując oczywiście ramy możliwości i trzymając się linii zasadniczej. Na to trzeba by jednak pismo czytać, propagować i swym żywym zainteresowaniem moralnie i materialnie je wspierać.

* * *

Na tygodnik taki jak ŻYCIE spada w naszych warunkach bardzo wiele obowiązków, zwłaszcza w społeczeństwie, w którym każde pismo uważa, że jest tradycyjnie, gwiazdkowo i wielkanocnie, katolickie a tematy okolicznościowe podejmuje utylitarnie. Stąd rola tygodnika zdecydowanie i konsekwentnie katolickiego nie jest ani łatwa, ani wdzięczna. Tym większy jest obowiązek uświadomionych katolików, aby utrzymali i rozwijali swe pismo kosztem nawet ofiar.

Toteż pisząc do 250 numeru ŻYCIA tych parę luźnych uwag, nie mogę nie zakończyć innym życzeniem jak tylko: aby się ilość jego czytelników co najmniej podwoiła. Sama treść tego jubileuszowego numeru jest najlepszym świadectwem możliwości pisma a zarazem pełnym szlachetnej dumy zobowiązaniem jego Redakcji wobec czytelnika.

Niechaj Bóg nadal błogosławi wysiłkom tych „szaleńców", którzy to pismo do życia powołali, chcąc być niczym innym jak tylko „Boga współpracownikami". Niechaj błogosławi tym wszystkim, którzy to zaszczytne dzieło ukazywania polskiej inteligencji drogi Prawdy i pełni życia katolickiego nadal prowadzą. Niechaj błogosławi również tym, którzy prasę katolicką moralnie i materialnie wspierają.

Ks. Władysław Staniszewski
Wikariusz Delegat dla Polaków w Anglii i Walii.

KS. DR MARCIN WOJCIECHOWSKI

ZMARTWYCHWSTANIE DOWODEM EKLEZJOLOGICZNYM WIARY

Zmartwychwstanie Pańskie jest prawdą objawioną i objawionym faktem historycznym, który w dziedzinie zjawisk jest cudem nadprzyrodzonym fizycznym i substancjalnym. Cudem fizycznym jest dlatego, że odbył się w sferze dla nas dostrzegalnej, cudem substancjalnym dlatego, że połączył na nowo dwie substancje przez śmierć rozłączone. Cud substancjalny z natury swej należy do wyłącznej mocy twórczej Boga.

Cud Zmartwychwstania Pańskiego stał się wydarzeniem tak wielkim i nadzwyczajnym, że musiał wywołać reakcję, która była różna. Ze strony przeciwników cud Zmartwychwstania był zwalczany i to na przestrzeni całych dziejów; w ręku zwolenników stał się argumentem druzgocącym w systemie chrześcijańskim.

Na ten drugi aspekt chciałbym zwrócić uwagę czytelnika i wykazać, jak wielką rolę fakt Zmartwychwstania Pańskiego odegrał w konstrukcji dowodowej systemu chrześcijańskiego. Wiemy o tym, co jest tak mocno podkreślone w tomiźmie, jako wielkie dokonanie św. Tomasza z Akwinu, że teologia jest systemem aksjomatycznym, w której przy pomocy dedukcji przechodzimy z aksjomatu do aksjomatu, z prawdy poznanej do innej, mniej znanej.

Cud Zmartwychwstania stał się najgłębszym argumentem i motywem wiarogodności wiary naszej. Wynika to zarówno z porządku chronologicznego, w jakim zajął miejsce końcowe pieczętując jakby mocą Bożą wszystko to, co Chrystus zdziałał i powiedział. Tak on był pomyślany i zapowiedziany przez Chrystusa i tak był przepowiedziany w ekonomii zbawczej przez proroków Starego Testamentu.

Forma i konstrukcja myślowa i dowodowa prawd chrześcijańskich zawsze zajmowała wiele miejsca w umysłach apostołów i apologetów głoszonej nauki a u tomistów stała się czymś istotnym. Nauka w swej treści pozostawała zawsze ta sama, forma jej była zastosowywana do mentalności otoczenia. Wiemy o tym, jak styl i koncepcje helleńskie zaciążyły na mentalności chrześcijańskiej, jak pojawienie się herezyj i prądów intelektualnych na przestrzeni całych dziejów zmuszało obrońców Kościoła do uwypuklania tych czy innych stron chrześcijaństwa i do zastosowywania różnych metod jej podawania. Święty Paweł jest tego wzorowym przykładem.

Wiemy z Dziejów Apostolskich, jak wiele uwagi poświęcił apostoł wystąpieniu swemu w Atenach. Marzył o tym, aby tam założyć gminę chrześcijańską, która by wzbogaciła naukę chrześcijańską w nowe dowody filozofii greckiej, przybrała ją w piękne formy języka dźwięcznego i aby z Akropolu wyszedł blask, który by olśnił ludzkość całą.

Paweł starannie przygotowywał swój występ przed Areopagiem, przypomniał kunszt wielkich mówców, odnalazł w pamięci zdania poetów helleńskich a skutek jednak był straszny. Mowa jego uczonym Areopagu wydała się twarda a kiedy powiedział o zmartwychwstaniu ciał, roześmiali się i wyszli.

Udał się św. Paweł wtedy do Koryntu i w środowisku portowym, robotniczym, znanym ze zepsucia, założył gminę. Z jego listów do Koryntian widzimy, że występ Pawła w Atenach wpłynął na zmianę metody. Oto jak pisze: „*A ja gdy przyszedłem do was, bracia, nie przybyłem z podniosłą mową, lub mądrością, głosząc wam świadectwo o Chrystusie... A mowa moja i nauczanie moje nie polegały na przekonywujących słowach mądrości ludzkiej ale na okazaniu ducha i mocy.* (1 Kor. 2:1-4).

W czym leżała moc wystąpień św. Pawła? W łasce Bożej, zapewne; gorliwość i umiłowanie sprawy Bożej wiele znaczy, ale też pod wpływem światła z góry i wielkiej erudycji umysłu Paweł buduje argument eklezjologiczny, którego siła leży w konstrukcji dedukcyjnej dwóch aksjomatów, dwóch objawionych pewników, z których jeden jest cudem Zmartwychwstania Pańskiego a drugi zmartwychwstaniem naszych ciał. Cud Zmartwychwstania Pańskiego stał się argumentem i motywem wiarogodności dla drugiego, t.zn. zmartwychwstania naszego. Św. Paweł obu aksjomatom przyznał jednakową siłę, a wiarę Koryntian i ich zbawienie, których znał, że cenią sobie, postawił pod pręgierz, kiedy pisał: „*A przypominam wam, bracia, Ewangelię, którą wam głosiłem i którąście przyjęli i w której trwacie. Przez nią też i zbawieni będziecie, jeśli ją zachowacie taką, jaką wam głosiłem: chyba, żeście na próżno uwierzyli. Bo przecież podałem wam, com też otrzymał, że Chrystus umarł za grzechy nasze według Pisma i że był pogrzebany i że zmartwychwstał trzeciego dnia według Pisma... A jeżeli głosimy o Chrystusie, że zmartwychwstał, jakże niektórzy z was mogą mówić, że nie ma zmartwychwstania? Jeżeli bowiem nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremnym jest tedy przepowiadanie nasze, daremną jest i wiara wasza*". (1 Kor. 15. 1-14).

W powyższych słowach widzimy już ideę Kościoła, Ciała Mistycznego, którą gdzie indziej wyraził słowami: czy nie wiecie, że ciała wasze są członkami Chrystusa... On też jest Głową ciała Kościoła. W imię tej prawdy Apostoł zażąda od Koryntian ofiary, przypomni im, że nieczystość jest grzechem przeciwko ciału mistycznemu Chrystusa i zbezczeszczeniem świątyni Ducha Świętego. Słowa te podziałały i przyniosły pełną poprawę obyczajów ku wielkiej radości św. Pawła.

Sięgnijmy teraz do innego, może największego myśliciela, wielkiego Ojca i Doktora Kościoła, św. Augustyna, który wychodząc z aksjomatycznych twierdzeń za pomocą dedukcji, buduje też argument eklezjologiczny, w którym bardzo swobodnie przenosi wiarę w Chrystusa na Kościół a z Kościoła na Chrystusa. „Chrystus cierpiał i zmartwychwstał dnia trzeciego, mówi on. Widzieli to, widzieli go wiszącego, widzieli cierpiącego, widzieli po zmartwychwstaniu obecnego, żyjącego. A czego nie widzieli, pyta się Doktór Kościoła? Ciała, t.zn. Kościoła. Widzieli Chrystusa, nie widzieli Kościoła... Widzieli Głowę, a o ciele Głowie uwierzyli. Zmartwychwstanie Chrystusa, mówi on, poznaliśmy w Głowie, jako dokonanie, poznamy w przyszłości w członkach. Głową Kościoła jest Chrystus, mówi dalej, a członkami Chrystusa jest Kościół. Co nastąpiło w Głowie, nastąpi w członkach... Dzisiaj my, mówi św. Augustyn, nie widzimy Chrystusa, jak ongiś oni w ciele narodzonego. Widzimy natomiast Kościół, którego oni nie widzieli. Jak oni wiarę w Chrystusa przenosili na Kościół, dzisiaj my wiarę w Kościół przenosimy na Chrystusa." (116 Sermo). Do męczenników św. Augustyn skierowuje słowa, zrozumiałe i całkiem aktualne dla naszych czasów. Mówi o nadziei. Chrystus jest dla nas, mówi on, pełną nadzieją, w którą wierzymy, w której trwamy wśród złośliwości tego świata.

Gdy porównamy argument św. Augustyna ze św. Pawłem, to wydaje się nawet, że pierwszy ma silniejszą ekspresję. U św. Augustyna nie Chrystus a Kościół stanowi argument i motyw wiarogodności dla Chrystusa, dlatego, że Kościół widzimy przynajmniej w jego ludzkich elementach, a w Chrystusa wierzymy.

Św. Augustyn w swojej genialnej argumentacji dał początek empiryzmowi eklezjologicznemu, który znalazł się w rozważaniach Pascala a pełne rozwinięcie uzyskał u Dechamps'a, prymasa Belgii w ubiegłym stuleciu.

Istota problemu leży w tym, że autor stworzył konstrukcję dwóch faktów: zewnętrznego i wewnętrznego. Zewnętrznym jest Kościół wraz z doktryną chrześcijańską, który obserwujemy jako pewną realną rzeczywistość. Stanowi to właściwy argument eklezjologiczny. Część psychologiczna poświęcona jest skonstatowaniu faktu wewnętrznego, ma *in concreto*, jak mówi Pascal, zbliżyć człowieka do chrystianizmu tak, aby prawdy chrześcijańskie nie pozostawały jakąś teoremą abstrakcyjną.

Cud Zmartwychwstania Pańskiego nie jest tylko faktem historycznym, ale prawdą żywą żywego organizmu, Kościoła, który stwarza w nas tak mało znaną cnotę teologiczną nadziei naszego zmartwychwstania wraz ze wszystkimi moralnymi dla nas konsekwencjami.

Analiza faktu wewnętrznego jest to nasza psychologiczna retrospekcja, która stawia nas wobec wielkich problemów religijnych, która uświadamia nam naszą słabość i zmusza szukać rozwiązania ich poza sobą w żywym Autorytecie Kościoła.

Stając na tak konkretnych założeniach, zmuszeni jesteśmy nie tylko do wyrównania naszych poglądów (to nie wszystko), ale do pełnego upodobnienia nas do Chrystusa (conformitas cum Christo), jako Głowy organizmu, w którym stanowimy pewną organiczną cząstkę.

Ks. Marcin Wojciechowski

STEFAN BADENI

PEREGRINUS APOSTOLICUS

Zniesienie zakonu jezuitów w r. 1773 było wstrząsem w dziejach Kościoła. Papież Klemens XIV po długiej wewnętrznej walce dla uniknięcia większego zła ustąpił przed szturmem rządów katolickich państw działających pod wpływem wielce różnorodnych czynników. Krok ten zachwiał powagą papiestwa, ale dał tę korzyść, przygodną zresztą i drobną, że mocarstwa odniósłszy tak świetne zwycięstwo, zaniechały czasowo dalszych wymagań darząc Stolicę Apostolską okresem spokoju.

Następcą Klemensa został w r. 1775 Giovanni Angelo Braschi. Elekt, wielbiąc Piusa V, który wśród jego poprzedników był ostatnim świętym, a był papieżem Lepanta i, jak on, należał do zakonu św. Dominika, przybrał imię Piusa VI. Miał 57 lat, doskonałe zdrowie i rozporządzał rozległym wykształceniem. O jego pobożności nikt nie wątpił, była wraz z dobrocią wypisana na pięknym, szlachetnym obliczu. Wiedziano, że już jako młodzieniec jaśniał czystością obyczajów. Stojąc przy ołtarzu wydawał się wielu aniołem i wzruszał do łez. Gdy go niesiono po raz pierwszy w blasku pontyfikalnym przez ulice Wiecznego Miasta, klęczący tłum patrzył w zachwycie. „Jaki on piękny!“ — rzekła jedna kobieta. „Równie piękny, jak święty“ — uzupełniła druga.

Pracując z wytężeniem troszczył się Pius także o sprawy świeckiej administracji. Zdołał przeprowadzić osuszenie pewnej części błot pontyńskich. A w innym świeckim zakresie położył zasługi uznane przez cały świat. Będąc miłośnikiem starożytności i jej pomników stworzył jeszcze jako kardynał muzeum watykańskie, które po swym wyborze otaczał dalszą opieką wzbogacając je ciągle. W tym czasie odżywał wszędzie kult piękna antycznego, więc zbiory rzymskie przyciągały wielu wybitnych ludzi; papież widział ich i witał chętnie. Licznie przybywali panujący. Po raz pierwszy władca protestancki, w osobie króla szwedzkiego Gustawa III, odwiedził Namiestnika Chrystusowego. I odwiedzał go potem wielokrotnie, z zaufaniem i przywiązaniem odsłaniając mu swe serce. Zagościli również w Rzymie syn carycy Katarzyny, w. ks. Paweł i jego żona. Zwyczajem czasu ułożono spotkanie jakby przypadkowe. Ojciec św. codziennie wieczorem modlił się u grobu św. Piotra i o tej godzinie carewicz znalazł się w bazylice. Paweł był dostępny uczuciom pobożnym i umiał w wysokim stopniu ocenić cudzą szlachetność. Tak więc niekatolicy czcili Głowę Kościoła katolickiego i nawet pruski Fryderyk II mawiał, że człowiek tak godny i życzliwy, jak Pius, zasługuje na radość, a nie na zmartwienia. Ale w XVIII w. Stolica Apostolska doznawała największych utrapień od państw katolickich. Miała go doznać i ze strony najmniej spodziewanej.

Po śmierci cesarzowej Marii Teresy wstąpił na tron austriacki jej syn, Józef II, rozumem pozostający daleko w tyle za matką. Pracowitości niezwykłej miał sobie za obowiązek nie tylko wglądać osobiście w każdą dziedzinę życia państwowego, ale i przekształcić je mnóstwem reform w czasie jak najkrótszym. Był katolikiem wierzącym, lecz uważał się za powołanego do rządzenia Kościołem w swych krajach. Poglądy jego szły dalej, aniżeli zasady gallikanizmu i febronianizmu. Zabronił biskupom porozumiewania się z papieżem, któregokolwiek wypowiedzi nabierały ważności dopiero po otrzymaniu cesarskiego „placetum“. Zmienił prawo małżeńskie. Wychowywanie duchowieństwa miało być prowadzone przez osoby przez niego naznaczone i według programu, który on zakreślił. Pojmując religię nader płytko usunął zakony kontemplacyjne za zbędne i zniósł ich klasztory. I nawet przepisy liturgiczne zmieniał i porządkował drobiazgowo. Papież z głęboką troską widział zamęt kościelny w krajach habsburskich. Gdy ani przedstawienia nuncjusza ani jego własne pisma nie skutkowały, postanowił Pius w roku 1782 jako dobry pasterz udać się do Wiednia i przez osobiste porozumienie z cesarzem zatrzymać go na zgubnej drodze. Zamiar ten wywarł wszędzie wielkie wrażenie, wspominano podróże dawnych papieży o dziejowym znaczeniu. Za pierwszą z nich uważano spotkanie wielkiego Leona z królem Hunnów. Kardynałowie byli przeciwni, obawiając się, że Ojciec św. bezskutecznie poniesie upokorzenia. Pius był niewzruszony: „Nie lękam się szyderstw“ — mówił — „gotów byłbym i na męczeństwo. I czy nie wiemy, że w służbie Bożej mamy się wydawać szaleńcami?“

Zamierzył odbyć podróż tylko w towarzystwie 2 biskupów, sekretarza, spowiednika, medyka, mistrza ceremonii i nielicznych służących. Kiedy po żarliwej modlitwie u grobu Apostoła wyruszał dnia 22 lutego, żegnały go tłumy. Stawił się i w. ks. Paweł, który pomagał mu wsiąść do powozu, w. księżna okryła go futrem sobolowym, darem carycy dla Zwierzchnika Kościoła katolickiego.

Podróż, podobna do pochodu tryumfalnego, postępowała powoli. Wszędzie brzmiały dzwony, z daleka dążyły niezliczone procesje. Papież nocował w klasztorach. 14 marca stanął w Gorycji na ziemi austriackiej, gdzie oczekiwali nuncjusz i cesarski wicekanclerz. W Lublanie witała siostra cesarza Maria Anna, przeorysza celowiecka. W Grazu zamieszkał w klasztorze cystersów. Cesarz wyjechał dnia 22 marca naprzeciw o kilka mil od Wiednia. Ujrzawszy powozy podszedł tak szybko, że mógł jeszcze być pomocny przy wysiadaniu. Pius ucałował go trzykrotnie „po bratersku“. Ludność w stolicy z przejęciem patrzyła na wjeżdżających w jednym powozie przedstawicieli obu najwyższych godności na świecie. Józef nie pozwolił gościowi swemu zamieszkać w nuncjaturze, lecz zawiózł go do zamku do komnat Marii Teresy. Na klęczniku stał słynny krucyfiks Habsburgów, przed którym modlili się w najcięższych chwilach wojny 30-letniej Ferdynand II.

200.000 wiernych przybyło z wszystkich krajów ogromnej monarchii. Wiele pielgrzymek — Dunajem. Kilkadziesiąt tysięcy osób czekało zawsze przed zamkiem błogosławieństwa. Protestant opisał swe wrażenia: „Nie jestem katolikiem i nie jestem skłonny do rozczuleń, a byłem do łez wzruszony! Widziałem 50.000 ludzi złączonych jednym i tym samym pragnieniem, na każdej twarzy malowało się to samo uczucie pobożności i zapału, którym promieniało także oblicze



Ze zbiorów Irlandzkiej Galerii Narodowej. Pompeo Gicrlamo Battoni:

PAPIEŻ PIUS VI (1708–1787)

papieża, starca postawy wyniosłej i majestatycznej, o rysach twarzy najszlachetniejszych i najprzyjemniejszych. Chwili, gdy tłum padł na kolana, nie zapomnę nigdy!“

W czwartek wielkanocny umył Pius nogi dwunastu starcom — jeden liczył 106 lat — potem usługiwał im przy stole, każdemu wręczył jeden złoty i jeden srebrny medal, a cesarz dodawał po 20 dukatów.

Kanclerzem austriackim był książę Kaunitz, wielce zręczny polityk, który jako ambasador w Paryżu doprowadził do przymierza między Austrią a Francją, skłóconymi od setek lat. Z Francji powrócił przesiąknięty ideami filozofów i nienawiścią do Kościoła. Głaskało jego próżność, że go nazywano „woźnicą Europy“ i był zarozumiały aż do nadętości. Towarzystwo wiedeńskie okadzało go sowicie i znosiło cierpliwie jego niegrzeczności przekraczające miarę dziwactwa. Przed przybyciem papieża radził cesarzowi bezskutecznie, by nakazał wszystkim biskupom monarchii nieopuszczanie swych diecezji aż do jego wyjazdu. Nie złożył też Ojcu św. powinnego uszanowania w zamku. Pius wszakże pragnął poruszyć w rozmowie z nim sprawy, które go do Wiednia sprowadzały, polecił więc zapytać go, kiedy mógłby obejrzeć jego galerię obrazów. W oznaczonym czasie rodzina kanclerza i domownicy czekali wprawdzie z należytym szacunkiem u wejścia, ale papież musiał przemierzyć wiele sal i pokoi zanim ujrzał kanclerza grzejącego się przy kominku i jakby pogrążonego w myślach, z kapeluszem na głowie. Zdjął go, lecz po chwili znowu przykrył nim perukę skarżąc się na przeziębienie. Nie ucałował ręki papieskiej — potrząsnął nią, a podczas oględzin galerii popychał Ojca św. w różne strony pod pozorem szukania najlepszego światła. Od wszelkiej rozmowy poważniejszej uchylił się.

Pobyt papieża trwał miesiąc, zachowanie się cesarza było bez zarzutu. Gdy widziano ich razem w serdecznej zawsze rozmowie, gdy cesarz Józef klękał dla otrzymania błogosławieństwa lub Hostii św., można było sądzić, że porozumienie jest zupełne. Ale i cesarz unikał wszelkiej wiążącej rozmowy. Toteż kiedy chciał papieżowi wręczyć dyplom księcia Rzeszy dla jego bratanka, Pius odmówił przyjęcia — „aby nie powiedziano, żesmy uzyskali więcej dla naszego rodu, aniżeli dla Kościoła“. Uwożąc jedynie nadzieję, opuścił papież Wiedeń, aby przez Bawarię i Tyrol powrócić do Rzymu.

Może Pius wstrzymał cesarza od kroków jeszcze gwałtowniejszych. I w latach następnych Józef liczył się więcej z Głową Kościoła, zwłaszcza przy obsadzaniu diecezji. Ale żadnego rozporządzenia nie cofnął i kardynałowie byli niezadowoleni. Papież znalazł na klęczniku w swej kaplicy pismo ze zdaniem: „Czego dokonał Grzegorz VII, największy z kapłanów, to zburzył najmniejszy z nich, Pius VI“. Papież pozostawił kartę na klęczniku dopisawszy: „Królestwo Chrystusa nie jest z tego świata. On, Który rozdaje Korony niebieskie, ziemskich koron nie odbiera“.

Podróż Piusa, daleka i niezwykła, zdawała się dostatecznie usprawiedliwiać słowa starej „przepowiedni“, zwącej tego papieża: „Peregrinus apostolicus“. Nikt nie przewidywał, że po wielu latach będzie mu wetknięty — w sposób nieludzki — kij tułaczy do ręki.

Pontyfikat Piusa trwał pełne ćwierć wieku, objął więc także lata rewolucji francuskiej. Rewolucja ta przeszła od zdobyczy ideowych do zdobyczy terytorialnych i wojska jej zagarnęły także państwo kościelne. W r. 1798 zajęły Rzym łupiąc bezlitośnie. Obiecano Piusowi roczną pensję, jeśli podda się „republice rzymskiej“ i będzie nosił trójkolorową kokardę. Po odmowie uznano go za więźnia. Zrabowano wszystko co posiadał, w jego obecności francuski komisarz, kalwin Haller kazał rozbijać szafy i biurka. Oświadczono papieżowi, że opuści Rzym. „Nie opuszczę mej owczarni“ — rzekł — „mam 81 lat, doznałem niedawno ataku apopleksji i chcę umrzeć tutaj“. „Umrzeć można wszędzie“ — odparł Haller. Po jego odejściu papież płakał, ale wkrótce się opanował i był znowu pogodny. Wieziono go pod strażą dragonów od miasta do miasta wedle zmiennych rozporządzeń rządzącego we Francji Dyrektoriatu. We Florencji papież poprosił, by mu dozwolono umrzeć we Włoszech. Nogi jego były okryte ranami komisarz kazał w swej obecności zdjąć opatrunki dla przekonania się, czy go nie oszukano. Tłumiąc jęki zniósł to starzec cierpliwie. Przywieziono go do Francji do Valence nad Rodanem i osadzono w cytadeli, gdzie wnet nadszedł rozkaz podpisany przez księcia — apostatę Sieyèsa: „Był papież ma być odstawiony do Dijon“. Rozkazu tego już nie wykonano. Ostatnie dni spędził Pius modląc się nieprzerwanie. Silnym głosem przebaczył swym prześladowcom i pobłogosławił Francję. Zmarł w sierpniu 1799 r. Szaty i drobne pozostałości zlicytowano na rzecz republiki francuskiej osiągając 50 ludwików.

Gdy zwłoki namiestnika Chrystusowego czekały niepochowane zarządzenia Dyrektoriatu, gdy kardynałowie rzymscy byli uwięzieni lub rozproszeni, a dwóch podlilo się przed nową władzą, Kościół znalazł się w stanie swego największego poniżenia. Wrogowie jego radowali się, a katolicy słabej wiary trwożyli się, że łódź Piotrowa zatonęła w odmętach rewolucji.

Stefan Badeni

KS. BISKUP JÓZEF GAWLINA

O PISMACH I REDAKTORACH KATOLICKICH

Wolałbym, aby Redaktor ŻYCIA mnie raczej poprosił o jakiś felieton, zamiast mi dyktować określony temat, którego myśli mogą tu i ówdzie zawadzić o doskonałe samopoczucie cechu, w którym sam przez kilkanaście lat pracowałem, mianowicie redaktorów katolickich.

Świat polski wibruje po prostu od tematów aktualnych i historycznych, jak np. 1000-lecie Chrztu Polski, 700-lecie kanonizacji św. Stanisława Biskupa (1953 r.), jak np. perspektywy genialnego zespołu Wielkich Europejczyków, jakimi byli Sylwester II, św. Wojciech, Chrobry i Otton III, jak widoczny już rozwój kultury atlantydzkiej i t. p. sprawy powabne.

Skoro jednak taka zapadła decyzja, należy się do niej dostosować, tym bardziej, że nie ma istoty posłuszniejszej nad biskupa katolickiego.

Obraz Unierzyskiego „Królowa Pokoju“ przedstawia nam redaktorów „w pokorze“, gdyż widząc królów, magnatów, kapłanów, żołnierzy i wiele innych stanów (dyplomatów tam nie ma), klękających z ufnością u tronu Bogurodzicy, redaktor tylko nie ośmiela się zbliżyć do Królowej Pokoju — w obawie przed słuszną naganą za lekkomyślne lub zgoła złe szafowanie prasą.

Czym jest praca prasowa? Zdobywaniem ludzi dla idei, sztuką rozpowszechniania myśli wnikaniem w umysły, służba bliźniemu i czasowi. Rezygnacja z prasy równałaby się samobójstwu duchowemu. Spoganienie mas we Francji było tak samo współzależne od prasy, jak n. p. obrona praw katolików w Holandii i Alzacji.

Obok prasy poważnej istnieje również typ brukowca, którego celem jest zysk materialny. Inni handlują mydłem lub węglem, on słowem drukowanym. „Dobre“ dla niego jest to, co gotówkę rodzi. Lecz tu mówimy o prasie ideowej.

Prasa katolicka ma, prócz ogólnych zadań dziennikarskich — mianowicie służba narodowi i społeczeństwu, podawanie wiadomości — szczególny jeszcze cel mianowicie naświetlanie wszystkich zjawisk życiowych z katolickiego punktu widzenia i obrona moralnych i religijnych dóbr przeciwko atakom wrogów.

Do jej zadań należy również przenikanie kultury wiarą katolicką. Jej funkcja jest przede wszystkim kulturalna, mniej pasterska. Toteż sprawy czysto duszpasterskie normalnie nie są tematami dla dzienników, a raczej dla tygodników religijnych i pastoralnych.

Nie znaczy to, jakoby prasa katolicka mogła się całkowicie odgrodzić od zagadnień, które niepokoją serce duszpasterza. Nie może ona powiedzieć: Co mnie obchodzi duszpasterz? Inaczej bowiem mógłby duszpasterz z tą samą słusznością odpowiedziedzć: A co mnie obchodzi prasa?

Ojciec św. Leon XIII w Encyklice „Dall'Alto dell'Apostolico Seggio“ z dnia 15. 10. 1890 r. wypowiada następujące zdanie: „Zadaniem prasy katolickiej jest odsłanianie zdradzieckich zamiarów sekt, pomaganie w pracy kapłanom, popieranie i bronienie wszelkiej działalności katolickiej; obowiązkiem zaś wiernych podtrzymywać dobrą prasę, czy to bojkotując złą, na każdym kroku, czy to przyczyniając się bezpośrednio w miarę możności do rozwoju dobrej prasy i utrzymania jej“.

Zadania dzienników i innych czasopism katolickich zostały tym samym rozgraniczone. Wypada stwierdzić, że na emigracji nie posiadamy dotychczas żadnego czystego typu dziennika katolickiego.

Wśród dzienników katolickich bowiem znów istnieją dwa rodzaje, mianowicie:

a) pismo ponadpartyjne, którego zadaniem głównym jest szerzenie Królestwa Bożego, dajmy na to pismo zbliżone do Akcji Katolickiej,

b) pismo, które ma swoje własne cele polityczne lub społeczne, które jednak we wszystkim opiera się na doktrynie katolickiej.

Niektóre dzienniki chciałyby się zaliczać do tego drugiego typu, lecz niestety zbyt często w nich przebija nienawiść albo — jak w pewnym szczególnym wypadku — widać w nich lekceważenie zarządzeń Kościoła.

Gdy np. dziennik chcący być katolickim, publikuje powieść, która dekretem Stolicy Apostolskiej umieszczona została na Indeksie, nie wypada wydawcy tłumaczyć się, że on autora powieści uważał za pisarza katolickiego. Tego już można od niego wymagać, aby sobie zdawał sprawę, kogo drukuje dla zdobywania abonentów.

Duszą prasy katolickiej jest redaktor. Winien on znać nie tylko całą pełnię zjawisk kulturalnych, ale tak samo całą szerokość i głębokość wiary katolickiej i chrześcijańskiego prawa moralnego. Jakże by inaczej mógł rozróżnić złoto od eleganckiego blichtru, jakżeż by inaczej mógł nie błądzić? Zdarzyło się np. pewnemu tygodnikowi katolickiemu, że bronił pięknie brzmiącego hasła „Salus Reipublicae suprema lex esto“, nie zdając sobie sprawy, że to zasada, mimo pozornej wysokości etycznego napięcia wprost błędna, obrażająca religijne uczucia narodu i sprzeczna z ideałem demokratycznym zasada Macchiavella, Murawiewa, Bismarcka i Stalina. Niech ten przykład starczy za dalsze.

Doktryna katolicka jest konieczną podstawą pracy redaktorskiej. Jako Dyrektor Katolickiej Agencji Prasowej KAP szukałem z niepowodzeniem po redakcjach dzienników warszawskich Encyklopedii katolickiej, która przecież winna być fundamentem biblioteki redakcyjnej — prócz innych jeszcze książek, jak np. Pismo św., Kodeks Prawa Kanonicznego, katechizm, Dzieje Kościoła, socjologia chrześcijańska itp.

Od redaktora wymaga się wielkiego idealizmu i poświęcenia. Jego prasa nie może błyszczeć we wszystkich kolorach: musi ona wyrzec się niezdrowej sensacji i wielu intratnych ogłoszeń. Za to jednak posiada ona, jeżeli dobrze prowadzona, tę wysokość, która jedynie wyrasta z myśli katolickiej, uniwersalnej duchem, narodowej wykonaniem.

Trudne zaiste postulaty. A może wobec tego lepiej, zamiast „dziennika“ wydawać po prostu jakiś „wieczernik“, by sprostać doktrynie chrześcijańskiej i wymaganiom poświęcenia? Czy nie lepiej szukać tak „doskonałego człowieka“ wśród świętych?

Czymże jest „człowiek doskonały“?

Powinien on — według słów Papieża Piusa XII — posiadać: prawdziwą chrześcijańską religijność, wielka sprawiedliwość i szczerą miłość wobec wszystkich, głęboką harmonię kultur, dobrą znajomość współczesnej wiedzy i techniki, uczciwe wyrobienie obywatelskie, sumienną pracowitość, zdrowy krytycyzm, gruntowną pokorę, wielkie poczucie odpowiedzialności wobec Boga i przeświadczenie wzajemnej zależności ludzkiej.“ (Przemówienie z 4 września 1949 r.) Z tego wynika jasno, że jego życie prywatne musi być bez zarzutu. Musi on ponadto być „człowiekiem współczesnym“.

Takim — według tego samego Papieża — jest ten, który jest przygotowany do pokonywania współczesnych trudności, który umie spełniać swoje zadania w swoim specyficznym otoczeniu i który jako obywatel bierze żywy udział w życiu własnego kraju. (Przemówienie z dn. 15 października 1948 r.).

A więc i współczesny i doskonały winien być redaktor jako człowiek i fachowiec.

Przyznać należy, że wśród naszych redaktorów jest wielu takich, którzy z powodzeniem do tego celu dążą. Co piszę o redaktorach, odnosi się także do autorów.

Należy się im stanowczo więcej uznania i wdzięczności, niż ta, którą ich darzy przeciętna publiczność. Mamy oczywiście na myśli redaktorów i autorów prawdziwych, a nie tych reporterów, którzy gdzieś w kuluarach sejmowych lub wojewódzkich między sobą wymieniali wiadomości zdobyte, by je zabarwić stosownie do potrzeby swych dzienników, nieraz wzajemnie się zwalczających. Myślimy o tych filarach społeczeństwa, które w głębokim przejęciu losami narodu i biegiem spraw publicznych poczuwają się do obowiązku sumienia, by opinię ogółu ukształtować po linii prawa Bożego i naturalnego dla dobra idei i sprawy.

Któż z „konsumentów“ prasy uświadamia sobie należycie wysiłek ideowy i fizyczny autora i redaktora? Któż wie o jego walkach wewnętrznych, o mozole ważenia słowa, o ciężarze odpowiedzialności? „Extra pugnae — intus timores“ — chciałoby się nieraz za św. Pawłem powtórzyć. Jak łatwo coś przeoczyć, o coś zawadzić, komuś sprawić wcale niezamierzoną przykrość, zwłaszcza u Polaków. Zdarza się przecież, że o to samo zdanie obrażają się przeciwnicy polityczni z krańcowych biegunów. Jeżeli natomiast artykuł lub numer tygodnika świetnie wypadł, konsument wcale nie sięga po pióro, by „udzielić pochwały“ redaktorowi. A przecież i jemu i autorowi jest uznanie także potrzebne do życia, bo dodaje im radości i zachęty. A z dobrym artykułem, to akurat jak z dobrym obrazem. Malarz wyczarował go w przeciągu dwóch godzin, ale by to umieć, musiał pracować dwadzieścia lat nad sobą.

Jednym słowem: Cześć temu, który brzemię dźwiga (Napoleon). A bezsprzecznie brzemię redaktorskie jest ciężkie. Że dla niego jest ono również i słodkie, to już sprawa jego serca i werwy.

Do niego, jako stróża spraw Bożych i ludzkich, jako głosu sumienia i drogowskazu, stosować możemy słowa biblijne: „Uczynię cię dziś miastem obronnym i słupem żelaznym i murem miedzianym na wszystkiej ziemi... I będą walczyć przeciw Tobie, a nie przemogą, bom Ja z Tobą jest, mówi Pan, abym cię wybawił“. (Jer. 1. 18-19).

Ks. Biskup J. Gawlina

* * *

Od Redakcji. Artykułem J. E. Ks. Biskupa J. Gawliny zaczynamy dyskusję na temat zadań i roli ŻYCIA w uchodźczym społeczeństwie katolików polskich.

Z OKAZJI ŚWIĄT ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO REDAKCJA „ŻYCIA“ SKŁADA SERDECZNE ŻYCZENIA WŁADZOM RZECZYPOSPOLITEJ, J.E. PROTEKTOROWI UCHODŹSTWA, WIKARIUSZOM GENERALNYM, WIELEBNEMU DUCHOWIEŃSTWU, WSPÓŁPRACOWNIKOM, CZYTELNIKOM, OPIEKUNOM I PRZYJACIOŁOM.

BEATA OBERTYŃSKA

SEN

Sen pewien pomnę, dziwny i zawiły,
sen józefowych godzien komentarzy...
Tak mi się w pamięć jego barwy wbiły,
tak mi z latami żaden błysk nie spłowiał,
że gdy powrócić doń myślą się zdarzy,
woń nadbrzeżnego poznaję pustkowia
i tak jak wtedy — pierwszy pod powieką —
gród mi się złoty jawi precz za rzeką...

Nie wiem — bo sen się nazwami nie dzieli —
jakim imieniem nakryć mam to miasto?
...Leżało płasko — ciężki plaster pszczeli —
przez bań cerkiewnych obsiędziony gniazda...
Gdy w szafir cieni i omgłę ceglastą
grzęzło powoli, jak tonąca gwiazda,
coś ku mnie nagle powiało zza brodu
wschodnim przepychem — i barbarią wschodu...

Był niski zachód... Wody rybia łuska
grała pod słońce krwią, miedzią i złotem
i prąd się w płatkach wklęsłych błysków pluskał,
niczym ognistą posypany różą...
Toteż dziś jeszcze, kiedy mówię o tem
oczy się same od tych iskrzeń mrużą
i ledwie widzę przez ich śliskie sito
ów gród, gdzie właśnie w wszystkie dzwony bito.

Na szkle powietrza, oczom widne prawie,
granie się spiżu wieczorną godziną
tak rozchodziło, jak kręgi na stawie,
w coraz świetlistsze — coraz dalsze koła...
Stałam nad wodą, a dłoń mi łupiną
mrocznej purpury wisiała u czoła,
aż pod jej wklęsłym zdało się rubinem
że rzeka w miejscu stoi — a ja płynę...

I wtedy w tunic świetlistego pyłu,
jakim się oddal pod zachód zamąca
— migotem prądu popychana z tyłu
a pustką rzeki od dzioba wabiona —
łódź mi się wielka, w dół rzeki sunąca
zjawiła nagle, a ja zadziwiona
— na pół z radością, a z lękiem na poły —
dojrzałam w łodzi płynące Anioły...

Gdyby jaskółki dzieliły z ponową
jej biel i gdyby zgarnięte zbyt blisko
skrzydłom szukały miejsca — to łódź ową
pod blask i wody plusk i migot chyży —
za białych ptaków mogłam wziąć skupisko!
Aż rozeznałam, gdy ją prąd zniósł bliżej,
przez sieć tęczowych u rzęs motowideł,
że — jak Serafin — łódź miała sześć skrzydeł!

...Kto odda słowy kształt tej aureoli,
którą się Anioł przed powietrzem broni?!
...Jak w wielkiej perle, czy w kwiecie magnolii,
czy niby w jaju przejrzystym zamknięty —
wibruje blaskiem jak dźwięk i w harmonii
z własnym swym bytem — obcy trwa i święty...
...Takich to kręgów oddane opiece
sunęły moje Anioły po rzece.

Biel ich — odmienna od innych białości —
chłodną poświatą w złotej mokła tunic.
Biel promienistych pozbawiona ości,
gładka jak owoc i mleczna jak mleko...
Patrząc pod słońce, jak łódź mimo sunie
zrazu biel tylko miałam pod powieką,
zanim dostrzegłam, że o dziób jej wsparty,
prócz trzech Aniołów jest w łodzi — ktoś czwarty.

Silnym za burtę ramion wyprężeniem
wpół wychylony, jak w zrywie do lotu,
młodzieniec w białej tunice, rzemieniem
w pasie ściśniętej i szytej purpurą —
zda się — błysk jeszcze — a pochwycić gotów
tego Anioła, co giętki jak pióro,
przed samą łodzią wiał się i kołysał,
powojowi podobny, co z urwiska zwisa...

Lecz patrz! Nie lotnej chciw on łowca bieli!
...Jak zjawa z lodu, płomienia i tęczy,
złota korona — w przekorze anielej
raz podawana — raz cofana dłoni —
w polotnych rękach dyszy — lśni — i brzęczy...
Ją to chce schwycić! Ją to z prądem goni!
Ją — co po palcach tęcz proso mu siejąc
jest już — zwątpieniem i — jeszcze nadzieją!

Między koroną a bliskością chwytu
tylko by motyl lotem się przewinął,
tylko by skrawkiem błysnęło błękitu,
i chłód by ledwie przeciągiem się wysnuł...
Cóż — gdy nią właśnie — tą wąską szczeliną,
spełnienie orlich wietrzało zamysłów
i złota pogoń za złotą koroną
mrzonką się zdała — w złoty nurt ciśnioną...

...Któż pojmie dziwne Aniołów działanie?
Kto ich poczynań zgłębi tajemnicę?
Ich piór w pośpiechu posłuszne rozwianie,
ich wiedzę rzeczy — miejsca — i przestrzeni?
W zjawień i zniknięć wklęci błyskawice,
— jak gdy się sługa w Pana barwach mieni —
strzałą — żarliwie bełtem rozśpiewaną —
trafiają w serce spraw — jak im kazano.

Jakie tajemne wzięły rozkazanie
Anioły w łodzi, nie wiem — bo któż zgadnie?
Ni dziś, ni wtedy gdy patrzyłam na nie,
nie pojmowałam z kim były w przymierzu?
Czułam jedynie, że każdy dokładnie
wie, jaki nakaz w skrzydeł tai pierzu,
chociaż widziałam też, ich niedorzeczną,
bo nie anielską w poczynaniach — sprzeczność!

Pierwszy — koroną wabił łódź — i skosem,
jak dym się słaniał, giętko i płochliwie...
Drugi wiosłował... a że nie miał wioseł,
obydwa skrzydła ułożył za burtę
i raz je prężąc wstecz w opornym szkliwie,
to znów do przodu przenosząc nad nurtem
pchał łódź — raz po raz zmieniając w kropidła
z wody pod słońce wyjmowane skrzydła.

Ostatni Anioł siadł u krańca łodzi
— twarzą w dół rzeki — plecami ku głębi
i pióra — rzekłbyś — w wodzie tylko chłodzi...
Lecz spójrz, jak buntem wre nurt w ich bliskości!
Jak się w ich odmie wir odwrotnie kłębi!
...Bo trzeci Anioł, chcąc opóźnić pościg,
orał skrzydłami ciemny szmaragd toni
nawspak tamtemu, rzece i pogoni...

I tak sunęły — tajemne i święte —
oprzędem sprzecznych osnute intencji,
jak trzy kokony, w dym jedwabny wpięte...
i nieraz pytam, czy mnie wtedy we śnie
zwid ten zdumiewał — czy zachwycał więcej?
To wiem, że wszystko widząc równocześnie,
wzrok do korony wciąż wracał na nowo,
w snu tego wrosłej miąższ — jak pestka w owoc.

Zachód tymczasem stygł w pobłyskach miedzi
i łódź w dół rzeki przynaglana w biegu
z klina świetlistej zeszła gołoledzi...
Nurt przybrał barwę podgardła pawicy
i pierwsze cienie kładł na tamtym brzegu
— cały w powolnym jak krople żywicy
ostatnich wahnięć spiżowym pogwarze —
gród, co po dzwonów dogasał pożarze...

. . . .

Ileż to trzeba słów i rymów ile,
gdy kto próbuje cudzej wyobraźni
we śnie zjawioną opowiedzieć chwilę!
I choć jak motyl, od pyłu się tępi,
choć brzęk jej widma gra mu najwyraźniej
— kto kiedy pamięć na słowa rozszczepi?
— kto ją na cudze przewinie wrzeciona?
— z jakich mu luster wyjrzy — powtórzona?!

Próżno się tedy treść z rymem boryka!
Stubarwny odwar, którym sen mnie raczył
dziś we wspomnieniu znowu sama łykam.
I wiem, że nigdy słowy nie opowiem
dygotu gwiazdy, co się w pustkę whaczył,
ni łun, wlokących kir ze złotogłowiem,
ni tego zmierzchu, co nalot popiołu
tchnął na niknących w oddali Aniołów...

Tak mi spłynęła snem ta łódź-Serafin,
ta sześciu skrzydły wiejąca zagadka.
Może jej w księgach mędrzec dojść potrafi,
astrolog w gwiazdach — może w gusłach wieszczek...
Mnie dość — że ta, tak samo gładka
przyśnionym pięknem — jest we mnie — trwa jeszcze,
że jeszcze pamięć szumi jej blekotem
i tylko nie wiem, poco gadam o tem...

Beata Obertyńska

ZOFIA KOSSAK

LEGENDA O ŚWIĘTYM

Działo się to dawno na Śląsku, tam, gdzie Wisła wyrwawszy się górom wpływa na nizinę, z bystrego potoku przedzierzgając się w stateczną rzekę. Górale nazywali tę nizinę „żabim krajem". Strzeliste bory, pokrywające obłe kopce gór beskidzkich, zmieniały się na niej w zagaje, mokre olszyny, brzeźniaki, w których lubowały sobie szkodne dziki. Grunt był grząski, szczególnie wiosną czy jesienią: kto nie znał drogi, łatwo utopił się w bagnie. Nieraz też takie wypadki bywały.

Między żabim krajem a górami szedł książęcy gościniec z Cieszyna do Bielska, z Bielska do Krakowa. U brodu na Wiśle strzegł drogi zamek skoczowski, nieco dalej Grodziec, gdzie kasztelan sprawował sądy książęce. Sądy były srogie, podziemia zamku obszerne i powiadano w dziedzinie, że do Grodźca chodzi się po mores.

Na gościńcu od wiosny do późnej jesieni panował ruch. Przelatywały poczty rycerskie. Skromniej sunęły wozy kupieckie polskie, śląskie, czeskie lub węgierskie. Włóczyły się różne obieżyświaty, waganty, rybałty, kuglarze, żebracy. Tylko najliczniejszej w dziedzinie, rolniczej ludności nie ujrzałeś na gościńcu. Woleli oni własne, boczne szlaki, swoje steczki wydeptane w lesie, nie kwapiąc się do spotkania z panami. Ten świat inny, tamten inny. Ten przyziemnej trawy, tamten wielkich drzew.

W owych czasach, w przysiółku Pierściec, leżącym blisko wsi Strumień, żył pastuch gromadzki Mikoła, uważany za przygłupka. Na szyi miał wole, z racji czego głowę krzywił na lewą stronę, jakby nasłuchiwał. Służył za jedzenie, jużci nie obfite ani przesadnie kraszone, a co dwa lata gmina obowiązana była sprawić pastuchowi lejbik, portki i chodaki. Nowego przyodziewku nie było we zwyczaju dawać, siedlacy składali dla niego własne, już znoszone, łachy. Innej odzieży Mikoła nie miewał, zresztą na co mu była potrzebna? Do kościoła cieszyńskiego pójdzie na sumę, a może na odpust? Piątek czy świątek, żywiny trzeba pilnować, żeby w szkodę nie polazła, a zimą, gdy bydło w oborach, też nie brak innej roboty.

Pastuch z wolem, z krzywą głową, jedną miał tylko rozrywkę i jedną zmyślność: przednio strugał drzewo. Kozikiem potrafił wyrobić nad podziw zręcznie łyżkę, kopystkę, kłótkę do mieszania jaj, faskę do sera, ujęcie do sierpa, osadę do topora. Dzięki tej umiejętności odżywiał się nieco lepiej, niż z łaski siedlackiej, bo gospodynie w zamian za statki obdarzały go chlebem a nieraz i kęsem sperki.

Materiału do Mikołowych wyrobów dostarczała wielka lipa zwalona burzą przed laty. Choć stara, drzewo miała zdrowe, poddające się woli strugacza, gładkie w dotknięciu, jak skóra małego dziecka. Pomału Mikoła przerobił wszystkie mniejsze konary, z kolei grubsze, aż nareszcie pozostał sam pień, piękny, duży kloc.

Pastuch obchodził go wkoło, myślał i pewnego dnia, nie wiedzieć skąd, naszła go ochota wyrzeźbić świętą figurę swojego Patrona.

Kiedyś, jeszcze za życia rodziców, Mikoła był w Cieszynie, w kościele przy zamku. W głównym ołtarzu stał św. Mikołaj jak żywy. Chłopiec zapamiętał sobie jego strój i postać. Przymknąwszy oczy widział posąg jakby go oglądał wczora. I takiego samiuteńkiego zapragnął wyrzeźbić swym starym kozikiem w tym lipowym klocu.

Nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział o zamyśle. Dopieroż by urągano. Zachciało się przygłupkowi św. Mikołaja! Acz z wielkim trudem, zatoczył kloc do pustej szopy stojącej na skraju pastwiska, pchnął pod żłób, mierzwą przysypał i czekał miesięcznych nocy, by zacząć robotę.

Gdy księżyc wypływał zza gór i stawało się jasno jak w dzień, tyle, że nie złociście a srebrnie — Mikoła wytaczał pień i do świtu obciosywał go siekierą. Kiedy dniało, ukrywał swój skarb i szedł po bydło gromadzkie. Dzień dłużył mu się nieznośnie, nie mógł doczekać wieczora. Spanie odkładał do czasu kiedy miesiączek się skryje.

Odkąd wszystkie jego myśli pochłonęła zamierzona figura, przestał strugać cokolwiek innego i gospodynie darmo prosiły o nowe łyżki. Zagniewane nie dawały mu chleba i sperki. — Skoro taki nieużyty, niech się zadowolni wiktem gminnym! Mikoła wychudł i sczerniał. Może z głodu, a może z niespania. Co gorsza, chodził jak kołowaty, zaniedbywał się. Kilka razy gospodarze spuścili mu cięgi, bo w biały dzień wilki zarznęły dwie owce. Coraz częściej gadano o tym, że trzeba darmozjada przepędzić na cztery wiatry, a młodszego pastucha poszukać. Na szczęście dla Mikoły, nie znalazł się nikt, co by kwapił się służyć w takich warunkach i na pogróżkach stanęło.

Cztery lata bez mała trwała Mikołowa praca wokół posągu Patrona. Z każdym rokiem pień lipowy upodabniał się więcej do postaci ludzkiej. Aż nadszedł dzień, gdzieś w połowie września, że Mikoła skończył rzeźbę. Choćby nie wiem jak chciał, nic by już dodać nie umiał. Postawił posąg na środku szopy w pełni miesięcznej poświaty i patrzył nań, patrzył... Prawy biskup, w biskupiej czapce i biskupiej szacie, poważny, dobrotliwy. Z twarzy wydział się do pastucha Mikoły podobny, nawet głowę podobnie pochylał na lewo. Z patrzenia Mikołę zdjął nieokreślony niepokój. Jakby stała przed nim nie figura, którą sam latami ciosał, strugał, dłubał lecz nieznana dostojna osoba. Zostawił posąg pośrodku stodółki, nie śmiąc wpychać go pod żłób. Wrota zawarł i poszedł spać między owcami.

Zbudziły go ze snu wrzaski. Porwał się na równe nogi myśląc, że wilki podchodzą.

— Nicponiu! Próżniaku! Łazęgo! — krzyczy gospodarz i rżnie pastucha palicą przez grzbiet. — Ty śpisz, a stodoła gore!

— Gore! Gore! — krzyczą zewsząd. Ludzie biegną z osękami, widłami. Miesiąc dawno zaszedł, ciemno wszędzie, a z szopy na polu jasność bije przez szpary. Gospodarz z innymi już dopadli, szarpnęli wierzeje, oniemieli, stanęli, rymnęli na ziemię... Bo nie ogień to, jeno na klepisku stoi nie wiedzieć skąd przybyła drewniana postać i z niej taka jasność idzie.

— Cud! Cud! — wołają, płaczą, w piersi się biją. Od wsi lecą baby, dzieci. Mikoła klęczy pospołu z innymi. Oczu nie śmie podnieść. Nie mówi nikomu, że on figurę wyrzeźbił, bo po co? Nie uwierzą i słusznie, wszak nie on tę jasność sprawił.

Teraz gospodarze radzą, gdzie przenieść posąg cudownie z nieba zesłany. Ten radzi tak, ten inaczej. Nareszcie przyszli do zgody, żeby postawić świętego na rozstaju w olszynie.

Była tam góreczka, a wokoło bagna. Z góreczki między bagnami szły dróżki. Jedne ludzkie, do sąsiednich siodeł, inne dzicze, prosto wiodące w barzyny. Po ćmaku trudno było rozpoznać i niejeden już tam zagrząsł. Przeklęty, mylny rozstaj. Niechże go teraz cudowna figura rozświeci.

Na przenosiny zeszło się luda z całej okolicy, nawet księża z Cieszyna i rękodzielnicy cechowi ze Skoczowa. Sam dziekan winszował Hawulakowi, w którego szopie cud zaszedł, błogosławieństwa Bożego. Wójt i najstarsi gospodarze nieśli ostrożnie świętego. Hawulok promieniał dumą; groźnie burczał na Mikołę: — Co się tu pchasz, obdartusie?!

Stał św. Mikołaj na spiłowanym równo pniu dębowym i gdy mrok zapadał, rozświecał się zwolna błyszcząc jak zorza do świtu. Mylny rozstaj stał się teraz najbezpieczniejszym miejscem w całej dziedzinie. Sława Pierśca i cudownego posągu rozchodziła się daleko. Ludzie przychodzili tłumnie oglądać, zazdrościć i cudować się.

Tylko pastuchowi Mikole nie wyszła ta sprawa na dobre. Jakby go figura urzekła, ciągle pod nią siedział i na swojego Patrona patrzał. W robocie zaniedbał się całkiem, tak że go w końcu przegnano. Nie poszedł za inną pracą, tylko nadal na rozstaju sterczał, rankiem po chatach chodził po prośbie. Zrazu gospodynie dawały mu trochę strawy, pomne na owe łyżki, kopystki, dzieżeczki na ser, które pięknie niegdyś strugał, lecz chłopy zabroniły karmić lenia. Niech się najmie do roboty. Nie taki znów stary przecie! Któregoś dnia, a była już zima, znaleziono pastucha nieżywego pod figurą. Tamże go nieopodal pochowano, zasypano płytko ziemią i jeszcze kopidoły nie zdążyły wrócić do wsi, kiedy już nikt nie pamiętał, że Mikoła z krzywą szyją pasł kiedyś bydło gromadzkie. Ślad zatarł się po człowieku i już go nie znajdziesz, jak nie znajdziesz śladu, kędy ptak przeleci, ryba przepłynie lub drzewo ubędzie w lesie.

* * *

Minęło sto, może dwieście lat. W życiu przysiółka nic się nie zmieniło. Jedni ludzie umierali, drudzy się rodzili. Życie tych, co nastawali, wchodziło wiernie w starą koleinę i szło jednakowym trybem, nie różniąc się od życia poprzednich pokoleń, jak jedna wiosna nie różni się od drugiej a zeszła jesień od tegorocznej jesieni.

Za to w górnym świecie panów, świecie możnych i gwałtownych, działy się rzeczy, jakich dotąd nie widziano. Święta wiara, strażniczka człowieka towarzysząca mu od urodzin do śmierci, odmieniła się. Przyszła na jej miejsce nowa wiara. Zwano ją też chrześcijańską i powiadano, że ta właśnie jest prawdziwa ale była przykra, obca. Naprowadziła niemało nieszczęścia, wojny okrutniejsze niż dotychczas, gwałty i grabieże.

W Pierścu lżej przeszła ta zawierucha, niż gdzie indziej, bo kościoła w przysiółku nie było. Nowowiercy nie mieli co burzyć ni palić. Tyle, że przyjeżdżał książęcy powiernik, ogłaszając, że odtąd żyć wolno tylko według nowej wiary. Ludzie słuchali w milczeniu. Nic nie mieli do mówienia. Od tego



WITRAŻE

Pracujący w jednej z brytyjskich firm witrażowych, p. Lech A. Sawicki, w chwilach wolnych od zajęć wykonuje projekty witraży.

Zamieszczamy dwa z nadesłanych nam przez niego projektów, zaznaczając, że są to nie tyle wielkie dokonania artystyczne, co piękne usi-

MIKOŁAJU Z PIERŚCA

jest książę, żeby rozkazywał, od tego oni poddani, żeby słuchać. Takie jest prawo. Takie jest prawo. Tylko w serce i w głowę, gdzie się myśli rodzą, książe nie zagląda, tam już nie ma praw. Byle nic nie gadać. Z gadania samo złe wychodzi.

Dzięki tej powściągliwości można było oczekiwać, że nowa wiara książęca niewiele dokuczy. Aliści wdarła się ona mocno w życie ludności przysiółka i to za sprawą czyją? Patrona okolicy, św. Mikołaja.

Ten cudowny posąg świecący sam z siebie, był solą w oku wyznawców nowej religii. Bez zezwolenia księcia jednak nie mogli go ruszać. książe zaś był spokojny człowiek. Zadawalało go, że wzbogacił się majątkami kościelnymi, jak żaden z jego poprzedników. Opłaciła się Reforma. A świątek nic mu nie wadził.

Skoro jednak stary książe umarł, a na tron cieszyński wstąpił jego syn, bardziej uległy i wpływowy, jęto mu znowu przedkładać, że to hańba i wstyd tolerowanie podobnego zabobonu. Usunąć go trzeba co rychlej. Najgorzej nastawali dwaj urodzeni panowie, Marklowski z Górek Wielkich i Piećlat z Ogrodzonej. Póty gadali, aż książe przystał dla świętego spokoju.

Dopieroż sądny dzień w Pierścu, dopieroż lament, płacz, krzyki, zawodzenia, kiedy pan Pięćlat, o którym mawiano, że nie boi się Boga ni diabła przyjechał z wozem i pocztem halabardników zabierać święta figurę. Ludzie tłoczą się, szlochają, nie odstępują wozu, choć żołnierze napierają na nich końmi i pałkami tłuką. Nie zważając na razy towarzyszą orszakowi, aż gdy ujrzeli, że wóz wykręca na Grodziec kasztelański, gdzie chodzono po mores, przelękli się i zostali z tyłu.

Pan Piećlat nie stanął w Grodźcu, pojechał do Świętoszówki. Był tam w lesie głęboki stromy parów o zboczach porośniętych tarniną, głogiem, świerczyną, kaliną, leszczyną, a wszystko razem jeżyny i chmiel spinały w gąszcz nieprzebyty. Na samym dole ciurkał potoczek niewidoczny dla niczyjego oka, chyba lisów czy borsuków, co pod gałęziami miały swoje chody. W ten jar zrzucono posąg. Gdy legł kędyś w dole a ciernie i krze zamknęły nad nim swoje zielone sklepienie, pan Piećlat poczuł się zadowolony. Ulżyło mu, że błyszczącego świątka nikt już nie odnajdzie, chociażby najsilniej świecił. Zimą śnieg zasypie kłodę, jesienią opadłe liście, latem zasłoni listowie. Będzie leżał aż spróchnieje.

* * *

Pierściecy ludzie wracali spod Grodźca spłakani i mówili między sobą, jak im się będzie żyć bez opiekuna? Mrok zaszedł, gdy szli przez olszyny, więc gadali o bagnach dotychczas nie strasznych, bo Święty ciemność odganiał i żałość wzbierała w nich coraz cięższa, aż nagle idący przodem jęli krzyczeć w niebogłosy, nie z trwogi, ale z radości. Pomiędzy liśćmi zamajaczyło im światło. Pobiegli pędem, oczom nie wierzący. Święty stał na swoim miejscu i suła się z niego jasność. Wrócił!

Nie długo trwała uciecha. Choć trzymano pilnie języki za zębami, ktoś z dworskich nocą przejeżdżał tamtędy, zobaczył, doniósł. Wściekli się przeciwnicy Świętego i dalej do księcia, że zuchwałe chłopstwo należy ukarać, a bałwochwalczą figurę spalić.

Książę raz już ustąpił, obecnie był oporniejszy. Jako Piast z rodu dobrych szafarzy i rządców kierował się rozsądkiem. Pomyślawszy, taką dał zawziętnikom odpowiedź:

— Nie chcę rozruchu budzić, ani ludzi krzywdzić. Poselstwo mam słać królowi polskiemu, to posąg w darze dołączę. Napiszę, że nam już niepotrzebny, bośmy innej wiary a on katolicki pan, niechże go sobie zatrzyma.

Musieli przyznać, że mądrze książe uradził i tak się też stało. Uroczyście, na wozie wysłanym kobiercami, pojechał świątek w daleką drogę do Krakowa. Darmo ludzie płakali, wyciągali ręce. Teraz już do nich nie wróci.

Król Stefan przyjął łaskawie poselstwo księcia cieszyńskiego, św. Mikołaja ofiarował z kolei klasztorowi Panien Norbertanek na Salwatorze. Uciecha tam była niezmierna, bo posłowie rozpowiedzieli o cudownej właściwości starej niepozornej figury. Ustawiono ją w wirydarzyku na kamiennym postumencie i ksieni wraz z siostrzyczkami czekały niecierpliwie wieczoru. Pilno im było zobaczyć to dziwo. Wieczór nadszedł, noc zapadła, a światłości nie ma. Zawiedzione zakonnice idą patrzeć, skąd ta niełaska, dlaczego? Świętego Mikołaja ani śladu na kamiennym cokole. Znikł.

A tegoż samego wieczoru Pierściczanie z niewymowną radością zobaczyli go u siebie. Stał jak zawsze u rozstajnych dróg na swojm pniu dębowym, głowę na bok kłonił i świecił.

Kiedy się znowu wykryło, że św. Mikołaj wrócił i swoje czyni jak dawniej, zapalili się jego przeciwnicy straszną nienawiścią. Pan Pięćlat nalegał, by mu pozwolono figurę zniszczyć, książe zatroskany nic nie odpowiedział, co rycerz przyjął za akcept i z pocztem zbrojnym popędził do Pierśca. Parskał złością, jak Szaweł nim się Pawłem stał. Teraz już bez żadnych względów św. Mikołaja sznurami ściągnąć kazał, na wóz cisnąć i gnał tak szybko, jak gdyby go szatan gonił. Nie chciał, żeby wypatrzono dokąd świątka wiezie. Dojechał aż tam, gdzie Soła wpada do Wisły i obie razem tworzą wielką rzekę. Popłynie teraz świątek daleko, daleko. Dla pewności pan Pięćlat kazał go przedtem porąbać.

Rąbią żołdaki stare lipowe drzewo. Nagle opuszczą toporzyska, odstąpią ze strachem. Z odrąbanych ramion, nóg krew płynie jakby z żywego człowieka...

— Ciskaj w wodę! — krzyknął gniewnie pan Pięćlat.

Rzucono prędko odrąbane szczapy ramion, nóg, na koniec tułów. Na wodzie za nimi krew...

Pan Pięćlat, co nie bał się Boga ni diabła, stał na brzegu rad, że skończył z tą sprawą.— Zgiń, przepadnij, katolicki zabobonie, śmieszna wiaro, co bożysz człowieka, uczłowieczasz Boga, czarujesz martwe przedmioty. Zgiń i nie powracaj więcej!

Nie ma już śladu spławionego drzewa. Zniknęły ciemne smugi krwi. Drobne fale biegną równo pod zachodnie słońce. Rozejrzał się pan Pięćlat, czy nie lepiej przenocować gdzie w pobliżu, bo do Ogrodzonej przed nocą nie zdąży, lecz że wieczór zapowiadał się pogodny, ruszył w powrotną drogę. Pilno mu było pochwalić się księciu, czego dokonał.

Jedzie, jedzie, niedaleko już do Strumienia, kiedy go ogarnie mgła. Nie wiedzieć skąd, bo zachód był jasny, spłynęła z gór, czy wstała z mokradeł. Oblepiła cały świat, o trzy kroki nic nie zobaczysz, wpycha się w usta i w oczy, jak chusta śmiertelna. Nie daj Boże jechać w taką porę! Już jeźdźcy zbłądzili. Już ledwo konie z bagna wyrwali, bo się po brzuchy zapadły. Zawracają, biorą się inną dróżką. Ta ich sprawiedliwie powiedzie. I znowu chlupot bajora pod kopytami i konie chrapią przerażone. Okręcili się parę razy, zgubili ze wszystkim kierunek. Myślą, że zrobili kawał drogi, podjazdki ustają, a po prawdzie kołują cały czas w jednym miejscu po swoich własnych śladach. Mgła gęstnieje, mrok ciemnieje, noc zimna, nie można stanąć, bo się konie schwacą. Tylko patrzeć, kiedy wilki zwęszą zagubiony poczet. W tej ćmie ani się opatrzysz, jak bestia skoczy do gardła. I pan Pięćlat czuje po raz pierwszy w życiu, że włosy mu stają na głowie z niepojętej trwogi. Zda mu się, że błądzi tak od wieku i błądzić będzie przez wieczność, że ciemność już nie ustąpi, a z nią nie ustąpi lęk.

— Wasza Miłość! Światło! — woła za nim jezdny.

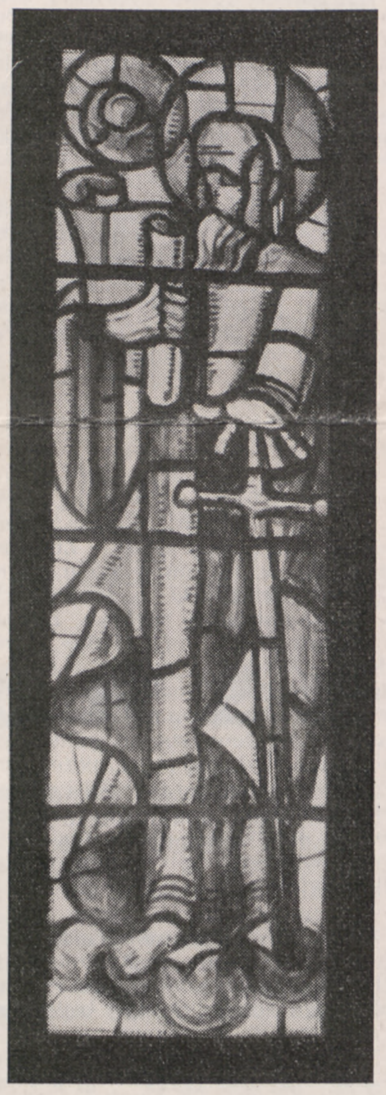
Szczęsna nowina! Z tą wieścią siła wraca w truchlejące członki. Przed światłem pierzcha trwoga. Daleko, daleko, (a może blisko, bo mgła zmienia oddalenie) smuży się nikły blask. Oświetlone okno chaty, ognisko, lub piec smolarski. Ktokolwiek zatlił ten ogień, niech będzie błogosławiony!

Konie jakby ożyły, przedzierają się skroś lasu. Światło płonie coraz bliżej, szerzej, rzekłbyś zorze powstaja wśród boru. Zabłąkani dojeżdżają pod pagórek na rozstaju, skąd dróżki rozchodzą się w cztery strony. Na pagórku, na pniaku dębowym, stoi stary świątek. Pomniejszony – bo bez nóg — uszczuplony, bo bez ramion, głowę pochylił i świeci.

Wrzasnął okropnie pan Pięćlat, bodnął konia ostrogami i nie oparł się aż w domu. Zawarł się w komnacie i nie gadał do nikogo. Potem uradzili z księciem udawać, że o niczym nie wiedzą, a drogą na Pierściec nie jeździć i innym jeździć zakazać. Tak też uczyniono. Św. Mikołaj stał już nie ruszany cały czas, co nowa wiara panowała na Śląsku.

Kiedy minęła ta bieda, wzniesiono w Pierścu na pagórku kościół. Pniak dębowy służył za podstawę ołtarza, a św. Mikołaj stał na nim jak przez wieki. Ludziom nieznośnie było patrzeć na okaleczoną figurę i na zaschłe ślady krwi na drewnie, więc przyodziali świątka w ornat i kapę biskupią. Pielgrzymki po dawnemu schodziły się na to miejsce i przychodzą po dziś dzień, a w odpust tłumów nie można pomieścić. Tylko, że odkąd Świętego obudowano murami, przestał świecić, czemu się nikt nie dziwi. Pan Bóg jest hojny, ale nie rozrzutny, nie lubi zbytku dla zbytku. Przed św. Mikołajem palą się świece, teraz jeszcze i lampki elektryczne, to na co miałby sam świecić? Jak by przyszła znów zła pora, że Śląsk zalegną ciemności, począłby świecić na nowo, bo moc Boża nie wietrzeje.

Zofia Kossak



L. SAWICKIEGO

łowania, świadczące o talencie autora oraz o kultywowaniu przez Polaków sztuki witrażowej. Niektóre formy witraży, jak i umiejętność wytwarzania pewnych barw szkła stały w naszym Kraju na wysokim poziomie, budząc żywe zainteresowanie obcych.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

DWA SŁOWA

Promień padł skośnie. Niewiasta schyliła
pod jego blaskiem twarz, w której skupione
cierpienie drżało. Cierpienie i miłość.
Chwiały się rosy poranne na młodych gałązkach.

Maria szła ścieżką pośród drzew oliwnych.
Zbudzony ogród słał się jej pod stopy,
rozchylały się płatki kruchej, wonnej lilii —
nie widziała ich, pełna schylonej żałoby.

Wdzięczną pieśnią poranną ptak ciszę rozchylił,
pieśń perłą się stoczyła na powietrza fali.
Przez ogród obudzony — cierpienie i miłość
szły niby myśl bolesna — za Marią z Magdali.

Nie słyszała pieśni. Lilie omijały
jej wzrok, wpatrzony w serce, niby grobu czeluść
jej wzrok, co widział tylko pustkę zimnej skały.

Grób był pusty. Młodzieniec, co smukły się podniósł
z kamienia rzekł: „Wstał Jezus. Wstał, nie masz go tu" —
Płakały trzy niewiasty. W płaczu serce Marii
zrozpaczone ucichło. Zabrakło mu tchu.

Dziś przyszła tutaj znowu. Wiatr włosy jej plącze,
złoto się rozsypuje po cichych ramionach.
— „Ogrodniku, co idziesz po wilgotnej ścieżce,
zali nic się nowego nie dzieje nad grobem?" —

Słowa Marii z Magdali wstrzymały człowieka.
Wolno złożył na ścieżce szpadel i szedł ku niej.
A tymczasem wiatr włosy rozplątał niewieście
I drżały lilie wonne i gałęzie kruche.

Był już blisko. Był niski.
Był jasny. Był złoty.
Był niebieski. Był cichy.
Promieniem szedł ku niej.

Promień spadł skośnie. Niewiasta schyliła
pod jego blaskiem twarz, w której skupione
pytanie drżało. Pytanie i miłość.
— „Zali nie wiesz nic, panie, o ciele złożonym
w skale zimnej, o zmroku, po Ukrzyżowaniu?" —

Był już przed nią. Stał jasny.
Stał w promieniu, stał cichy —
spojrzeniem miłosiernym niewiastę ogarnął
i właśnie rozchyliły ostatnie kielichy
lilie wonne, gdy wyrzekł jedno słowo: „Mario".

Podniosła twarz, wstrząśnięta. Ujrzała. Pojęła.
Włosy się rozsypały po skrajach jej szaty.
Serce się zatrzymało. Serce jej stanęło,
gdy szepnęła Mu w szczęściu jedno słowo: „Rabbi!"

A On już niknął w ciszy, w promieniu, w obłoku —
— A On — już dłonie ku niej, przebite, odwracał —
i szła tak, urzeczona, za śladem tych kroków,
śladem Boga, co znowu na ziemię powracał.

A ogród uciszony drżał w świętym zachwycie,
i drżały lilie wonne i wiatr drżał świetlisty
i Maria drżała cicha w obłoku zachwyceń,
gdy na ścieżce dalekiej znikał żywy Chrystus.

Chyliły się ku sercu kwiaty obudzone
wiatr lekki niósł posianie z niebieskiej oddali —
Korząc przed Zmartwychwstaniem zachwycone czoło
stała śród cichej wiosny Maria z Magdali.

Józefa Radzymińska

BRONISŁAW PRZYŁUSKI

Wiersz na Wielki Piątek

Ci, co przyszli z daleka
na święta wielkanocne,
patrzyli przerażeni
na zwiędłe liście Rąk
i ciężar zwieszonej Głowy
przybitego gwoździami Człowieka,
na krzyżu wysokim i mocnym —
w wieczornym oddechu łąk,
gdy lisy wychodzą na łowy.

A ci, co w noc tę usnęli
spokojni i ufni letargom,
wbrew wszystkim przypowieściom
niewiele chyba wiedzieli
o śmierci z miłości
i o męce,
kiedy wracali z targu —
Ściemniło się tylko za wcześnie,
zagrzmiało tylko — i nic więcej. —

Bronisław Przyłuski

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

Spowiedź mojego wieku

Najważniejszy, wstydliwy brak,
Że zboczyliśmy z Twego tropu,
Że, podobno, nie wiemy jak
I dostrzegać Ciebie i kochać.

Nie czynimy nic, abyś mógł
Śród codziennych od Cię ucieczek,
Spotkać nas — miłosierny Bóg,
Obleczony w postać człowieczą.

Więc odchodzisz smutny, by znów
Niewidzialnym cieniem powracać,
Zasłuchany w szemranie słów
Dookoła: — po co i za co?

O, dziecinny, naiwny fałsz,
Kiedy wszystko i tak wiadome,
Aby obejść, ten jeszcze raz,
I Twój Krzyż i Twą ścieżkę stromą.

Jerzy Dołęga-Kowalewski

CZESŁAW BEDNARCZYK

Przed miastem

Na gotyckiej topolami drodze
ludzie rozmodleni podróżą;
w górze
wiatr obłoki jak różaniec przesuwa,
po bokach trawa pochylona
i kolorowe szyby pól.

A dal w węzeł miastem związana.

Czesław Bednarczyk

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

MODLITWA

Święci Pańscy, przyczyńcie się, uproście,
Abym wiatrem i zmierzchem objęta
Znów stanęła na Zielonym moście
Ponad rzeką w wirach i odmętach.

Tam nad szumną i spienioną wodą,
Ponad falą jęczącą w udręce
Jak nad ludzką zawiścią i niezgodą,
Wschód i zachód podają sobie ręce.

Od Zakrętu świecą zorze pobladłe
Z Antokola siny mrok płynie falą.
Aż nad mostem jak nad stołem biesiadnym
Wspólne gwiazdy spotkania zapalą.

Od północy smętna Litwa się chyli,
Zakochana w Wilnie, zatęskniona,
Jak dziewczyna co w wieczornej chwili
Ku miłemu wyciąga ramiona.

Od południa mazowiecki wiatr wieje,
Aż pod gwiazdy wielkie skrzydła rozkłada,
Lecz od Ponar lot zniża, pokornieje
I u mostu na kolana pada.

Bez traktatów, bez sojuszów, najprościej
Most Zielony strony świata przygarnął...
Święci Pańscy, przyczyńcie się, uproście,
Święćcie miastu mojemu w noc czarną...

Zofia Bohdanowiczowa

JAN BIELATOWICZ

DON KISZOT MALARSKIEJ FORMY

Powiada się, że człowiek jest istotą myślącą. Rzeczywiście, spotyka się czasem takich ludzi. Ale co to właściwie jest myślenie? Profesorowie z anegdot tak są zotopieni w myślach, że nie myślą o tym, co się dokoła nich dzieje. Gdy ktoś popełni kardynalne głupstwo, usprawiedliwia się go twierdząc, iż się zamyślił. Można myśleć po chłopsku, filozoficznie, logicznie, kontemplacyjnie i estetycznie. Można myśleć ściśle i uczuciowo. Można po malarsku.

Jest to niezmiernie trudna i złożona sztuka myślenia, nie ograniczająca się do „myślenia kolorem" (jak to określił Cézanne), lecz zawęźlona w problematykę intelektualną. Nie tylko „sztuka" i wiedza o przedmiocie, ale pełny system filozoficzny malarstwa. Kto się nie zetknął z malarzami-twórcami, ten nie pojmie, jak ważną w tej sztuce rolę odgrywa myślenie.

Przeciw wielu artystom i wielu kierunkom malarskim podnoszono nie bez słuszności zarzut, iż doktryna jest osią a nawet celem ich wysiłków. Dzieła ich określano jako ilustrację teorii. Bez komentarzy byłyby one zupełnie niezrozumiałe. Takie malarstwo stało się możliwe dopiero w epoce, która wymyśliła czasopisma plastyczne. Współczesne malarstwo wyszło daleko poza „myślenie kolorem" i przekształciło swą wizję w system filozoficzny.

„Rzeczywistości nie ma — mówi Zygmunt Turkiewicz — rzeczywistość organizuje artysta". To nietomistyczne twierdzenie odnosi się oczywiście tylko do rzeczywistości artystycznej. Jest to bodaj istota współczesnej filozofii sztuki plastycznej. Niezmienności reguł klasycznych, matematyce kolorów romantyzmu (Delacroix) przeciwstawiono płynność zarówno środków wyrazu, jak i sposobu patrzenia na rzeczywistość artystyczną. Maritain jest również zdania, że twórczość polega na poszukiwaniu. A pojęcie poszukiwania zakłada uprzedni brak czy niedoskonałość. Rzeczywistość istnieje jedynie w naturze. W sztuce tworzą ją artyści, posiadający bezcenny mandat Boży do pomnażania dzieł stworzenia.

Wbrew pozorom zatem uczciwe nowatorstwo, poparte rzetelną pracą, jest z ducha chrześcijańskie. Napisano o Cézanne'ie, że „był malarzem o temperamencie mistycznym z powodu jego wizji czysto abstrakcyjnej"*). Abstrakcyjne malarstwo należy już dziś do przeszłości, ale jest ono w cezannowskim znaczeniu punktem wyjścia dla każdego nowoczesnego malarstwa, którego celem jest odrealizowanie świata widzialnego.

Jedna z placówek walki o nową rzeczywistość artystyczną mieści się w Londynie przy ulicy Ogrodów Wiązowych (Elm Park Road) — na poddaszu, zgodnie z tradycją malarską. Z okien mansardki można sycić się wizją artystycznej rzeczywistości, mając za przewodnika jednego z jej twórców — Zygmunta Turkiewicza.

„Talentem w ciągłym ruchu" nazywa Turkiewicza Czapski**). Jest to wśród wybitnych malarzy polskich na emigracji artysta najgorliwiej poszukujący, najtwardziej pracowity, najfanatyczniej oddany sztuce. Zanim wypełnił swoją uroczą pracownię na Elm Park Road setkami studiów i obrazów, przebył długą drogę, najeżoną nie byle przeszkodami i usłaną szczęściem wielu odkryć i przygód duszy.

Muza ucałowała oczy Zygmunta Turkiewicza, jak to zwykle czynią Muzy ze swymi wybrańcami, w kołysce, w Ziemi Lubelskiej, w roku 1913. Kołyską wiedzy malarskiej Turkiewicza było Liceum Krzemienieckie, które zapewne też rozbudziło w przyszłym artyście zamiłowanie do samodzielności myśli i wyostrzyło jego zmysł przygody. Życie Turkiewicza jest romansem nierozdzielnie ze sobą splątanych — rzeczywistości i wyobraźni.

Chrzest malarski przyjął Turkiewicz w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych z rąk prof. Felicjana Kowarskiego. Już jako student zrozumiał, że łaskę charyzmatyczną trzeba w sobie rozwijać samodzielnie; pojął, że malarstwa nie można się od nikogo nauczyć, chociażby dlatego, że jest to nieustanne poszukiwanie i odkrywanie przez całe życie.

Prof. Czajkowski wykładał wówczas w Warszawie achitekturę wnętrza, której pilnym studentem był także Zygmunt Turkiewicz. W czarodziejskiej grocie zagadnień estetycznych — meblarstwa, metaloplastyki, mozaiki, witrażu, tkactwa artystycznego — Turkiewicz wybrał skarb ostatni i wnet w ścisłej współpracy z entuzjastką ludowej sztuki polskiej, Eleonorą Plutyńską począł uszlachetniać i wymyślać wzory regionalnych tkanin i chłonąć w siebie te elementy sztuki, które stały się na przyszłość drogowskazami jego przekonań plastycznych.

*) Emile Bernard — por. H. Gotlib „Wędrówki malarza" str. 217, Warszawa, Gebethner i Wolff.

**) W przedmowie do teki rysunków Turkiewicza, jaka ukaże się nakładem „Oficyny Poetów Malarzy".



MADONNA

Poddasze przy Elm Park Road w podmiejskiej gminie Londynu, Finchley jest wymodelowane włóknami serca artysty z czasów jego młodości: tkaninami i dywanami ludowymi, wprawdzie nie z Polski, lecz ze Wschodu. Ale pierwsza miłość do wzorów polskich zamknięta jest w przedwojennych rocznikach polskich czasopism plastycznych, jak w pożółkłych kartkach pamiętnika.

Trudno usiąść wygodnie w pracowni Turkiewicza, ponieważ wnętrze nie tylko jest zastawione dziesiątkami płócien, ale też stylowe wschodnie mebelki są materią raczej estetyczną, niż użytkową. Jedyną cechą łączącą świat rzeczywisty z fantazją naczyń elmparkroadzkich jest smak dobrego wina. Wino — esencja wszystkich sztuk i mądrości!

Wypoczywającego w Worochcie po dyplomie akademickim Zygmunta Turkiewicza powołano 1 września 1939 jako oficera rezerwy do Wilna. Po kampanii wrześniowej znalazł się w obozie internowanych na Łotwie, skąd w roku 1941 przeszedł się na moskiewską Łubiankę. Turkiewicz ma bajeczny zmysł humoru: gdyby miał ambicje pisarskie, jego opowiadania o więzieniu na Łubiance a potem o perypetiach przenosin na Butyrki byłyby perłami dowcipu.

Był oczywiście jako oficer na drodze do Katynia, kiedy właśnie wybuchła umowa polsko-sowiecka. Znalazł się więc w Griazowcu.

Turkiewicz był za dobrym dowódcą plutonu, aby go mógł bez trudności wydobyć z 14 batalionu dowódca armijnego oddziału kultury. Był nim wszakże Józef Czapski, a ponieważ jego mądrym argumentom rzadko kto potrafi się oprzeć, więc też i Zygmunt Turkiewicz przybył w końcu z Tatiszczewa do Jangi-Jul, mianowany tu kierownikiem działu plastycznego w placówce kultury.

W Związku Sowieckim nie znajdowało się na podorędziu przesadnie wielu materiałów dla sztuk plastycznych: z kamieni układano mozaiki, z opon samochodowych rzezano „linoryty" dla pisma Armii Polskiej „Orła Białego", a kierownik działu plastycznego, Zygmunt Turkiewicz miał do dyspozycji tylko guziczki szkolnych farbek, którymi notował — jak twierdzi Czapski — „czujne akwarele".

Więzienia i łagry sowieckie przeżyła garstka polskich malarzy, skupiając się po zwolnieniu pod namiotami odrodzonej Armii Polskiej. Nad tym plutonem objął dowództwo Turkiewicz. Oprócz — pożal się Boże — prób pracy artystycznej w okresie tym mogli się przyjrzeć malarze ludowej sztuce uzbeckiej i starej kulturze Buchary.

O pracy nad sobą można było pomyśleć poważnie dopiero po wyjściu z Rosji. Dla Zygmunta Turkiewicza jako kierownika działu plastycznego placówki kultury i prasy Armii Polskiej na Wschodzie zaczął się kilkuletni okres pracy społecznej: organizacja zespołu plastyków, urządzanie wystaw propagandowych oraz salonów prac, ilustrowanie wydawnictw wojskowych, projektowanie afiszów, wykonywanie dekoracji scenicznych itd. Zaczęło się od wystawy propagandowej w Teheranie, a potem grupa plastyków polskich kroczyła w tryumfalnym pochodzie poprzez salony Bagdadu, Tel Avivu, Jerozolimy, Bejrutu, Damaszku, Aleksandrii, Kairu, Rzymu i Florencji, zbierając laury powszechnych pochwał, pozostawiając liczne obrazy w muzeach i galeriach, budząc zachwyt miejscowych artystów i inspirując ich swoimi zdobyczami i poszukiwaniami. W Iraku Polacy rozentuzjazmowali malarzy arabskich, we Włoszech powstał z polskiej inicjatywy międzynarodowy „Art-Club", a na Via Margutta i Via Babuino Polacy wnieśli nowe formy, pilnie studiowane przez malarską młodzież włoską przy zachęcie prof. Gino Severiniego.

Nazwiska ś.p. Burdylły, Janiny Wolff Boguckiej, Józefa Czapskiego, Józefa Jareny, Mariana Kościałkowskiego, Edwarda Maluszczaka, Jerzego Młodnickiego, Henryka Siedlanowskiego, Zygmunta Turkiewicza i St. Westwalewicza oraz rzeźbiarza Adolfa Gletta stały się znane w krajach Środkowego Wschodu i w kołach plastyków włoskich.

W czasie walk o Monte Cassino Turkiewicz został zwolniony z obowiązków prowadzenia działu plastycznego placówki kultury i prasy 2 Korpusu i udał się na teren bitwy jako rysownik. Owocem tej wyprawy był wyborny album rysunków, wydany w Rzymie. Uderza w nim pilność i oryginalność obserwacji, wyzwolonej z tradycji i konwencji batalistycznych. Album rysunków Turkiewicza spod Monte Cassino jest niepowszednim wydarzeniem w dziejach plastyki. Są to bowiem prace wykonane w ogniu z ambicją ukazania artystycznej rzeczywistości wojny.

Dzień opuszczenia Włoch zamknął rozdział w życiu i twórczości Zygmunta Turkiewicza. Z jego bark spadł ciężar pracy społecznej: mógł się nareszcie poświęcić skupionej pracy nad sobą. Ale daleko ważniejsze zmiany zaszły w poglądach artysty na malarstwo.

Na Środkowym Wschodzie i we Włoszech wyznawał on postimpresjonizm, co było zdaniem artysty uzasadnione słońcem i światłem tamtych klimatów. W Anglii — w Sudbury najpierw, a niebawem w Londynie — Turkiewicz nie mógł pozostać obojętny na krzyżujące się tu problemy malarskie. Klimat angielski nie w każdej epoce i nie w każdej dziedzinie rodzi wielką sztukę, ale znakomicie odzwierciedla wszystko, co się doniosłego dzieje w świecie. W Anglii znalazła się też grupa wybitnych malarzy polskich, m. in. Potworowski i Ruszkowski.

W Anglii dopiero, przemyślawszy doświadczenia swych malarskich przygód, zwłaszcza w Persji, Bagdadzie i Egipcie, Turkiewicz zdołał się wyrwać z kręgu doktryny dywizjonistycznej. Zaczął operować szeroką plamą, zwracać uwagę na komponowanie płaszczyzn i rozluźniać związek swojej wizji z naturą. Zaczął szukać własnej formy.

Najpierw zatrzymał się na malarstwie abstrakcyjnym, aby sobie jak najwyraźniej, eksperymentalnie uświadomić znaczenie koloru, rytmu i masy barwnej. Odrzucił koncepcję malowania brył sugerujących rzeźbę, interpretując je wyłącznie kolorem. Odrzucił impresjonistyczną perspektywę. Forma malarska Turkiewicza stała się zdecydowanie płaska. Artysta twierdzi, że obecnie tak widzi naturę — jako szereg płaskich form malarskich. Dostrzega ją poprzez założenie estetyczne. Płynną rzeczywistość ujmuje w określone formy.

W wędrówce przez świat zaznajomił się Turkiewicz z innymi, niż europejska, tradycjami malarskimi, i to tak wielkimi, jak perska i egipska. Płaskie, płaszczyznowe malarstwo starych kultur — twierdzi artysta — zostało zafałszowane wniesieniem doń momentów rzeźby. U początków tej drogi europejskiego malarstwa stoi Giotto; koncepcję jego rozwinął z urzekającą siłą Masaccio. Malarstwo nie powinno wszakże naśladować natury, lecz wyrażać ją swoimi własnymi środkami. Im bardziej przedmiot malowany da się sprowadzić do form abstrakcyjnych, tym większa istnieje pewność, że malarstwo takie dłużej przetrwa. Formy abstrakcyjne nie są jednak wymysłem wyobraźni. Są one zaobserwowane



Zygmunt Turkiewicz AUTOPORTRET

przez artystę w naturze. Formy abstrakcyjne są ładem, jaki artysta wprowadza w patrzenie na naturę. Rzeczywistość nie znika z wizji malarskiej, lecz jest przez nią porządkowana. Obrazy mające jednak wiernie i „łudząco" przedstawiać rzeczywistość stają się malowaną anegdotą. Celem dzieł malarskich powinno być organizowanie widzenia rzeczywistości.

Wiele elementów formy Turkiewicza pochodzi od Bonnarda, niektóre od Rouatta i fowistów. Pewne formuły zaczerpnął od Braque'a. Bonnard przedstawia rzeczywistość kolorowymi plamami, uniezależnionymi od ich przedmiotowej rzeczywistości. Plany perspektywiczne są ze sobą zmieszane i zsyntetyzowane. Tak właśnie widzi ulicę Elm Park Road ze swego okna Zygmunt Turkiewicz. Wazon ustawiony na parapecie zlewa się w jedną formę z dachem kościoła, a rama okienna przedłuża jego wieżę. Zupełnej nowości nie ma ani w życiu ani w sztuce. Przebłyski dzisiejszych form malarskich wykryć można u Rembrandta, a bliskie widzeniu Bonnarda elementy odnajdujemy u Paolo Uccella, Pietra della Francesca i Tycjana. Świadomość artystyczną zdobywa się jednak tylko poprzez własną pracę, przez własne doświadczenia, zawody i odkrycia. Sztuka jest odkrywaniem prawd nie tylko nowych, ale i starych, powracających na falach świeżych założeń.

Tak więc Zygmunt Turkiewicz przeszedłszy przez świat malarstwa abstrakcyjnego, wyszedł na rzeczywistość, którą najpierw traktował raczej sylwetowo, konturowo i oczywiście rytmicznie. Następnie na płótna swe rzucił światło jako element wzbogacający formę. Światło to wyraża Turkiewicz kolorem. W ten sposób przerzucił pomost pomiędzy abstrakcją a rzeczywistością, potraktowaną najprościej, bez anegdoty, psychologii i „meblowania" powierzchni. Przekształcił dotykalne kształty na formy kolorowe, a naturę żywą na naturę materiału. Ogromną rolę w malarstwie Turkiewicza grają rytmy, jak to łatwo można spostrzec na załączonych reprodukcjach jego obrazów. W obecnej fazie operuje Turkiewicz masami barwnymi o ciemnej gamie i ostrymi kontrastami. Ulubionym jego kolorem jest obecnie czarny, któremu dodaje co raz to nowej głębi.

Mimo entuzjazmu dla swych odkryć Turkiewicz nie jest zaślepiony. „To wcale nie jest koniec mojej drogi — wyznaje — doszedłszy do jednej formy, ruszam się natychmiast w drogę do innej, nowej." Ostatni, nieobeschły jeszcze obraz w pracowni Turkiewicza przedstawia Don Kiszota. Jest w nim przejrzysty symbol: Zygmunt Turkiewicz jest Don Kiszotem formy malarskiej. W poszukiwaniu niesytym, w wyprawie nieustającej do nieodkrytych krajów piękna mieści się urok tej stylowej postaci współczesnego malarstwa polskiego, chłonącej całą duszą zdobycze sztuki światowej, a tkwiącej korzeniami w najlepszych tradycjach polskich.

Jan Bielatowicz



DON KISZOT

STEFAN ARVAY

„M I S E R E R E"

GEORGES ROUALTA

Z przeszło dwudziestoletnim opóźnieniem ukazała się książka Roualta, którą bez wahania można nazwać arcydziełem. Książka — ponieważ Rouait jest nie tylko jednym z największych malarzy współczesnych, lecz również wybitnym poetą. Jego dwa poematy „Miserere" i „Guerre" składają się na osnowę a do każdej strofy przynależy obraz. Trudno użyć słowa „ilustruje", bo ilustracja oznacza coś dodanego z zewnątrz; tu wiersz jest częścią obrazu, a obraz odkrywa nieoczekiwane znaczenia ulajone w słowie. Zrośnięcie poezji i malarstwa w jedno jest w tej książce tak doskonałe, że z obawą myśli się o naśladownictwach, które się mogą posypać. Cechą niektórych wielkich dzieł jest to, że są niepowtarzalne, jak Michał Anioł.

O jakości utworu niech da pojęcie początek tekstu (cyfry odnoszą się do tablic):

1. Miserere mei, Deus, secundum magnam misericordiam tuam.
2. Jezus honni... (Jezus lżony...)
3. ...toujours flagellé... (...ciągle biczowany...)
4. se refugie en ton coeur — va-nu-pieds de malheur (chroni się w tym sercu, biedny bosy włóczęgo).
5. Solitaire en cette vie d'embuches et de malices (Samotny w tym świecie zasadzek i złości).

We wstępie Roualt opisuje dzieje tej książki. Zaczęło się od rysunków tuszem w latach 1914-18. Amboise Vollard, który miał wtedy kontrakt z artystą na wyłączność kupna, chciał je mieć wykonane w oleju. Olejne obrazy zostały fotograficznie przeniesione na miedziane matryce i na nich Rouall własnoręcznie przerabiał każdą scenę, używając rozmaitych narzędzi. Na ostatniej stronie książki są pokazane różne stadia tego procesu. W roku 1927 wszystkie płyty były gotowe zdaniem Roualta, ale nie Vollarda. Ten ostatni uwielbiał wydawnictwa luksusowe, będące zwykle rezultatem niekończących się zmian i przeróbek. Nastąpił znany spór i zerwanie i dopiero po ostatniej wojnie Roualt wydostał przez sąd swoje dzieło od spadkobierców Vollarda.

Oryginalne wydanie ukazało się w 1948 r., a popularne, w zmiejszonym formacie (które jest przedmiotem tego omówienia) w dwa lata później. Jest ono również wydane pod osobistą kontrolą Roualta.

Roualt zaczynał karierę w jednym szeregu z Matissem w burzliwym momencie (intelektualnie przynajmniej), kiedy perspektywę i anatomię w malarstwie zaczęto uważać za wyraz pozytywistycznego materializmu. W tym czasie (około 1900 r.) pozytywizm wieku XIX stawał się coraz trudniejszy do utrzymania w świetle nauk ścisłych. A indeterminizm Bergsona rozszedł się niespodziewanie daleko poza ściany seminariów filozoficznych. Następuje reorientacja bardzo złożona, często gwałtowna i brutalna, którą jednak Maritain mógł z radością określić jako zwrot ku wartościom duchowym. Roualt dzielił z towarzyszami z grupy „Les Fauves" uczucie buntu przeciw zracjonalizowanemu mieszczaństwu, które wierzyło w uproszczony liberalizm oparty przeważnie o darwinowski slogan o przetrwaniu jednostek silniejszych kosztem słabszych. Czas panowania klasy średniej odznacza się tym, że wszyscy ci, którzy stali się chlubą jego okresu, mieli znowu dłuższy moment walki z przeważającą atmosferą ciasnego utylitaryzmu, w której kultura uważana jest za kłopotliwą i niezbyt zrozumiałą formę luksusu. Człowiek epoki przemysłowej zaczął gwałtownie tracić zdolność do idealizmu i duchowo ubożeć; przez czas dłuższy tylko artyści to dostrzegali i próbowali przeciwdziałać. „Pewien uczony (un savant) mógł powiedzieć: „Nie ma już więcej misteriów". Można być bardzo uczonym i równocześnie bardzo głupim. Taką wypowiedź Roualta znajdujemy w przedmowie profesora Blunta.

Jest w niej również znakomity ustęp o problemach sztuki religijnej. Według niego, w wielkich wiekach wiary, kiedy życie całe regulowały przykazania i wszelka działalność intelektualna mieściła się, z powszechną zgodą, w ramach religii katolickiej, sztuka po prostu wyrażała ten stan rzeczy. Być artystą religijnym stawało się w tych warunkach rzeczą najbardziej naturalną. Giotto, rzeźbiarze z Chartres, czy Rafael mogą się bardzo różnić między sobą, lecz wspólny im był spokój, powściągliwość i równowaga, które można ogólnie określić jako elementy klasycyzmu. Każdy z nich daje świadectwo wierze, którą wyznawał cały cywilizowany świat. Wszelka emfaza była tu zbędna: nie trzeba przekonywać już przekonanych.



W czasach kontrreformacji spokojne stwierdzenie przestało wystarczać. Sztuka stała się narzędziem walki i klasyczna harmonia ustępuje miejsca napięciu uczuciowemu i dynamice.

W obecnej dobie sceptycyzmu sztuka religijna musi iść po tej samej drodze. Klasyczny artysta religijny jest dzisiaj nie do pomyślenia. Gdyby się zdarzył, jego spokój wyrażałby tylko religijność bardzo letnią; żarliwość wiary musi rozbić klasyczny schemat.

„Moją jedyną ambicją jest, bym pewnego dnia potrafił namalować Chrystusa tak wstrząsająco, by ci, którzy go zobaczą, nawrócili się" — mówi Roualt. Trudno od klasycyzmu odejść dalej: intensywność jako cel pierwszy jest najczystszym programem ekspresjonizmu. Lecz jaka inna droga pozostaje wobec otaczającej niewiary i obojętności?

Ekspresjonizm był również punktem wyjścia dla Matisse'a i innych członków jego grupy. Służył im jako etap do ostatecznego wyzwolenia koloru od więzów tradycji Renesansu. W pierwszym dziesiątku lat wieku XX kolor przestał być, dzięki nim, środkiem reprezentacji natury, natomiast reprezentacja zostaje podporządkowaną prawom autonomicznego koloru. Prawa koloru są prawami estetycznymi i naturalną koleją rzeczy harmonia stała się ważniejsza od intensywności dość rychło. Temat przestał być ważny. Obraz stał się układem plastycznych symboli, podobnie jak poemat Stefana Mallarmé, w którym słowo nie opisuje, lecz ma wartość muzyczną i działa skojarzeniami uczuć i ustalonych znaczeń. Łączność z życiem otaczającym stawała się coraz luźniejsza. W tym miejscu drogi „Fauve'ów" i Roualta zaczęły się rozchodzić. Dla niego intensywność pozostała najważniejszą. Również eskapizm reszty grupy nie godził się z jego naturą. Cokolwiek by można powiedzieć o jego życiu w oderwaniu od świata, furii, z jaką zamyka się w swym atelier przed plagą estetów w poszukiwaniu wrażeń, o jego mistycyzmie w końcu, nic nie wskazuje, że zamyka on oczy na świat otaczający. Malarz, który mówi, że „wszystko jest niewymierne w dziedzinach ducha, w które zapuszcza się artysta, ale panuje tam porządek bardziej prawdziwy, niż ten, którym się kieruje kontroler miar i wag" lub „istnienie sztuki w tym zmechanizowanym świecie czyż nie jest cudem?" — będzie się na pewno mało przejmował wizją fotograficzną. Bliższym mu będzie bardziej sublimowany sposób wypowiedzi, który Matisse (1908 r.) określił w słowach: „Ekspresja w moim rozumieniu nie polega na odtworzeniu przejmującego wyrazu twarzy czy wymownej gestykulacji, lecz na takim rozłożeniu wszystkich elementów kompozycji, aby cały obraz swą formą wywoływał zamierzone wrażenie." Zawiera się w tym, w praktyce Roualta przynajmniej, jedynie nowy sposób patrzenia na rzeczywistość, a nie ucieczka od niej. Jest to raczej widzenie kategoriami duchowej nadrzeczywistości typowe dla sztuki XX wieku, chociaż bez tonięcia w podświadomości.

Daumier, Forrain, Lautrec, witraże średniowieczne, jak również Goya i ojciec romantyzmu europejskiego, Rembrandt, złożyli się na środki, jakimi Roualt realizuje swą apokaliptyczną wizję świata, który odtrącił Łaskę, gdzie Słowo na próżno szuka gościny poza dzielnicą ubogich. Świat Roualta jest światem współczesnym, widzianym oczyma żarliwego katolika. Historia nie jest potrzebna do zrozumienia go. Roualt potrafi na ulicy wskazać nam rozgrywające się misterium grzechu i odkupienia. Ludzka krzywda i poniżenie są dla niego obrazą męki Chrystusa: scena niesprawiedliwego wyroku układa się na podobieństwo sądu Piłata. Symbolizm jest tu jedną z głównych form wyrazu. Komu obcy jest duch poetyckiej metafory, sugerującej złożone asocjacje bardziej, niż konkretne znaczenie, ten może zrobi słuszne, choć nie najinteligentniejsze spostrzeżenie, że oskarżeni w sądzie nie występują nago, lecz istotny sens i czar tej sztuki mu się wymknie.

Prawdziwej poezji i żarliwej pasji nic nie jest bardziej obce niż sentymentalizm. Stąd bierze się u Roualta element satyry, przed którą nie jest się bezpiecznym nawet w jego własnym obozie (tabl. 16: „Pani z towarzystwa wierzy, że miejsce w niebie jest dla niej zarezerwowane"). Poetycko satyra jest rozmieszczona nieomylnie: jej plastyczny odpowiednik nie zawsze jest równie przekonywujący. Bo Rouault jest rzadkim w sztuce fenomenem, któremu lepiej i prawdziwiej wychodzą charaktery dodatnie niż ujemne.

Całość książki składa się na jedno z najsilniejszych przeżyć, jakie sztuka współczesna ma do ofiarowania. Profesor Blunt tak zamyka swoją przedmowę: „W czasie kiedy słyszymy, że sztuka powinna przemawiać jedynie swą formą, Rouault wprowadza w kłopot krytyków, którzy są zachwyceni, lecz nie mogą go zmieścić w swych teoriach. W wieku nauki i racjonalizmu ofiarowuje on nam sztukę mistyka. Jakiekolwiek są czyjeś przekonania i wiara, nie można nie być pod wrażeniem głębokości jego przeżycia i siły przekonania, którą bije z jego dzieł."

Dodać pozostaje, że łącząc poezję z malarstwem (choć bez koloru) przeszło osiemdziesięcioletni już dziś artysta stanął może najbliżej ambicji swego życia: by nawracać siłą sztuki. Choć może najłatwiej mu będzie poruszyć intelektualistów. Publiczność, którą niekoniecznie najwyżej sobie ceni.

Stefan Arvay

Georges Roualt MISERERE. Foreword by A. Blunt, Professor of the History of Art in the University of London. Trianon Press. London 1950

MARIA WINOWSKA

GRZESZNIK i ŚWIĘTY

Chrystus przeciął dzieje przez pół jak nożem. Z pierwszym rokiem naszej ery poczęło się coś, czego nie było wpierw, chyba tęsknotą i przeczuciem. W ciasto człowiecze zapadły drożdże, zdolne do przedziwnych rozrostów: BOŻE DROŻDŻE. Rozszerzył się w bezmiar zasięg dobra i prawem kontrastu z nieznaną dotąd zajadłością rozpętało się zło. Stawką tragicznej i dostojnej gry stała się dusza ludzka, odczarowana, jak śpiąca królewna z tysiącletniego snu. Rozwarły się przed nią nieobeszłe widnokręgi, stanęły przed nią postulaty na miarę kosmiczną. Nie sposób już było wymawiać się letargiem błogiej niewiedzy! Ktoś o bezwzględnych wymaganiach, zachłanny jak sama miłość, zastąpił mu wszystkie drogi, zmusił do wyboru: ZA — lub PRZECIW.

Kto raz go spotkał, nie miał wyjścia, jeno „tak" lub „nie". „Tak" przyzwalające na najśmielsze rekordy ducha. „Nie" wiodące do zaprzaństwa i zdrady — do bogobójstwa (grzech zwie się „śmiertelny" nie tylko dlatego, że zabija dusze, ale dlatego również, że zabija, że ZABIŁ Boga-Człowieka).

Zaiste. Człowiek ten b y ł kamieniem obrazy! Nie stykał się z nim nikt bezkarnie! Wdzierał się w schrony błogiej miernoty, przypierał do muru, ścigał, naglił. Podobny innym — i jakże inny! Człowiek jak my, z krwi i kości — i nieskończenie więcej, niż człowiek: znak tajemnicy utajonej, s a k r a m e n t Boga Żywego.

„Boga nigdy nikt nie widział: jednorodzony Syn, który jest na łonie Ojca. On opowiedział..." Te słowa z Prologu św. Jana tłumaczą tragedię nieuniknioną wszystkich religii świata, które szukają Boga — poza Chrystusem. On jeden „Boga opowiedział", gdyż na Bogu się znał, sprawdził w najwspanialszym eksperymencie nieba i ziemi, co znaczy być Bogiem i człowiekiem z a r a z e m, człowiekiem całkowitym, lecz i Bogiem w pełni. Ziemi, spragnionej Zbawiciela jak życiodajnego dżdżu („niebiosa, spuśćcie rosę!") unaocznił Boga. Nie w dostojeństwie majestatu i w glorii uwielbienia jak na górze Tabor, ale w pokorze kondycji ze wszech miar służebnej, w wyniszczeniu krzyża. Tak się udostępnił, tak się ukorzył, dawał się tak tanio, że pychę świata zbałamuciło to Boże ubóstwo: „Czyż może z Nazaretu być coś dobrego?" Do końca wieków szukać Go będą tam, gdzie Go nie ma: na tronie, w chwale, nie zaś na krzyżu. Chwała jest na potem, t a m; krzyż jest tu, n a d z i ś. I człowiek na ziemi poznać może tylko „Ukrzyżowanego" (niekiedy, jak św. Paweł, nic poza tym znać nie chce...).

Nosił bluzę robotniczą, unicestwił się, jak mógł. Zredukował swoje Bóstwo do najskrytszej tajemnicy, pod postacią „Syna cieśli". A jednak...

A jednak, kto raz Go spotkał, nie mógł żadną miarą przejść obojętnie. Nie było rady! Musiał zająć stanowisko: za — lub przeciw. Przyjąć — lub odrzucić. Pokochać na życie, na śmierć — albo znienawidzieć. Nie było wyboru. Człowiek ten, prosty człowiek, był zaiste Bożą prowokacją! Przypierał do muru, zmuszał do wyboru. Co gorzej, nie tylko z zewnątrz szło natarcie, w słowach, co godziły jak kindżały, do szpiku kości, wejrzeniem oczu, które przezierały do dna: kto raz się z Nim zetknął, odnajdywał w sobie, niby piątą kolumnę, Jego zakonspirowaną sojuszniczkę: własną duszę.

Nie sposób było minąć Go obojętnie: WSZYSTKO — albo NIC. Kto do nóg Mu nie padł, wierności nie zaprzysiągł, naoścież serca nie otworzył, w sercu nie ugościł — ten nazajutrz wołał: „Ukrzyżuj, ukrzyżuj!".

Na sto lat przed Chrystusem Judasz byłby może obrotnym bankierem i kto wie? — nawet ławnikiem miasta. Talent handlowy i zmysł do interesów, to rzecz nie do pogardzenia! Myślał, że w ekipie Dwunastu czeka go kariera: cóż w tym złego? Przeliczył się, przegrał stawkę... Boga żywego wymienił na trzydzieści srebrników... Czy on jeden tylko, od dwu tysięcy lat, taki zły interes zrobił? Nie byłoż to innych, nawet wśród wybranych, co frymarczą świętościami, spekulując na doraźnych, Bożych tryumfach?



A Piotr? Piotr do śmierci byłby chodził z niewodem na jezioro Genezaret, łowiąc zwykłe ryby, nie dusze, gdyby onego dnia, o wiadomej godzinie, Pan go nie powołał. Nie byłby sprawdził do dna własnej, ludzkiej nędzy, gdyby jej nie sprowokowało trzykrotne pytanie, w ową noc nade wszystko pamiętną. Nie byłby się nauczył miłości grzesznika, gdyby nie objęło go miłościwe wejrzenie przebaczające. Nie zwątpił jak Judasz i ten akt ufności gorzko rozełkanej wystarczył Wszechmocy, by zatwierdzić go skałą na fundament Kościoła. On, nieuk, prostak, mający za całą broń Słowo i Ducha, zmierzył się z cezarem złotej Romy! Współcześni mogli się uśmiechać, z pobłażliwym politowaniem: my wiemy dziś, jak zakończył się ten nierówny pojedynek, kto zwyciężył: Rybak czy Cezar?

Zwycięstwo to jest niejako pierwszym z serii, w walce, która trwa. Zmieniają się nazwy partnerów, zmienia się arena, ale stawka wielkiej gry jest ta sama: z Nim — lub przeciw Niemu. Judasz czy Piotr? Rzecz znamienna — nawet grzech jest tu momentem decydującym. Zgrzeszył Judasz, ciężko upadł Piotr. Ale pierwszy zwątpił, zakrzepł w sobie, a nagie „ja" to drzwi na rozpacz otwarte! Gdy drugi właśnie w swoim żałosnym zaprzaństwie znalazł argument do bezgranicznego zawierzenia się Miłosierdziu, dał się przygarnąć i w błogosławionej wiedzy o własnym nicestwie znalazł odskocznię do radosnego „salto mortale" w przebaczającą Wszechmoc Bożą.

Zgrzeszył Judasz, zgrzeszył Piotr: nie grzech zadecydował o ich losie, ale sposób, w jaki zareagowali na grzech: w siebie zapatrzoną rozpaczą, czy w Boga zapatrzoną, bezgraniczną ufnością.

Tu idzie granica i rozdział wód. Niekiedy chrześcijanie stawiają zagadnienie mylnie. Wydaje się im, że o przynależności do Chrystusa decyduje świętość lub conajmniej pewien stopień doskonałości, że więc grzesznik jest poza orbitą chrześcijaństwa.

Tymczasem Pismo jest kategoryczne: „Nie przyszedłem do zdrowych, ale do źle się mających, nie do sprawiedliwych, ale do grzeszników". Czyż znaczy to, że święci, sprawiedliwi stanowią w chrześcijańskiej społeczności jakąś poślednią kategorię? Uchowaj Boże! Ale ich znakiem rozpoznawczym jest właśnie to, że uważają się za najgorszych grzeszników. Bóg albo ich nawrócił albo ustrzegł od złego: i oni wiedzą o tym. Kto nie wie, ma w Piśmie św. specjalną rubrykę, która leży na nim jak ulana: rubrykę faryzeuszów. POZA chrześcijaństwem nie są grzesznicy, ale ci, co nie wiedzą a raczej nie chcą wiedzieć, że są grzesznikami, a więc chorymi, przebujającymi gwałtownie lekarza.

W orbicie chrześcijaństwa grzesznik, to kandydat na świętego: byle CHCIAŁ. Tą odrobiną dobrej woli, niby wędką, ciągnie z topieli Bóg. Nie znaczy to oczywiście, że sprawa jest łatwa! Nawet Piotr nie awansował automatycznie: świadczą o tym na jego twarzy głębokie bruzdy łez! Ale nie w tym sęk, co łatwe, a co trudne, ale w tym, co możliwe lub nie. Faryzeusz wszystkich wieków wątpi w grzesznika albo conajwyżej podaje mu stryczek z dobrą radą: powieś się! Ale Bóg kocha grzesznika, gdyż wie, ile go kosztował i w każdej chwili gotów rzucić posłuszną trzódkę, by biec w sukurs i ratować owo setne zaplątane w ciernie, przerażone jagnię. Sądząc po niektórych tekstach Ewangelii, grzesznik ma pozycję zgoła uprzywilejowaną i nie darmo dąsa się najstarszy syn po powrocie Marnotrawnego! Czyż znaczy to, pyta chytrze św. Paweł, że trzeba być grzesznikiem, by Boga wziąć za serce? Broń Boże! Wystarczy byś wiedział, że JESTEŚ grzesznikiem i że od grzechów, których nie popełniłeś, wybawił cię z g ó r y miłosierny Bóg, podpisując twój weksel in blanco. Nie masz się więc czym chlubić, gdyż dobro w Tobie nie jest Twoje, ale owoc współpracy z wszechpotężnym Bogiem. Czy wiesz, co jest Twoje n a p r a w d ę Twoje, t y l k o Twoje?

Grzech.

Który może stać się szubienicą — lub odskocznią, drogą w rozpacz albo źródłem nad śnieg wybielających łez.

Maria Winowska

JÓZEF KISIELEWSKI

PROGI TRUDNEGO STULECIA

„...w naszych czasach więcej niż kiedykolwiek tajemnicą siły ludzi złych jest tchórzostwo i słabość ludzi dobrych, a tajemnicą siły szatana jest wygodne lenistwo katolików. O, gdybym się zapytał Boskiego Zbawiciela: — Skąd te rany w Twoich rękach, odpowiedź brzmiałaby niewątpliwie: — Otrzymałem je w domu tych, którzy mnie kochali. Zranili mnie moi przyjaciele, którzy nic nie zrobili, aby mnie obronić, którzy przy każdej sposobności stawali się pomocnikami moich przeciwników".

BŁ. PIUS X.

FILM „Monsieur Vincent" zrobił na mnie głębokie wrażenie. Mimo, że widziałem jego wady artystyczne, w czasie przedstawienia siedziałem pod potężnym wrażeniem, które długo potem nie schodziło z pamięci. Zapewne, wrażenie potęgowała piękna gra Pierre Fresnay'a, ale zasadniczą przyczyną wpływu, jaki ten film wywiera, jest jego — problem. Widok pokrzywdzenia człowieczego i widok jednostki, która rzuca siebie w walkę o tę krzywdę — wyzwala jeden z najsilniejszych rodzajów ludzkiego patosu.

Owo silne wrażenie mąciła refleksja, dotycząca czasu powstania filmu. Jak wiadomo, film „Monsieur Vincent" wyprodukowany został z pieniędzy, zebranych dobrowolnie przez ubogie parafie francuskie. Okazuje się, że katolicy potrafią sprostać potrzebom, nawet najbardziej skomplikowanym organizacyjnie. Dlaczego wszakże nakręcono taki film dopiero teraz, kiedy komunizm stoi w przededniu próby sięgnięcia po władzę nad całym światem? Dlaczego nie przedtem?

PORACHUNKI Z PRZESZŁOŚCIĄ

Ta myśl, która musiała przewijać się i atakować również poprzednio, przy innych okazjach, prowadzi do obrachunków, które stwierdzają, iż katolicy zaniedbali zajęcia się w pełni sprawami społecznymi i dania im właściwych rozwiązań. Taki wniosek skłania do wyjścia ze współczesności i spojrzenia raz jeszcze na drogę przebytą. Widać wyraźnie, iż zaniedbania w sprawach społecznych nie są jedynymi zaniedbaniami, jakie ciążą na naszym sumieniu. Któż nie powtarza już teraz tego wyraźnie, iż na przełomie średniowiecza i czasów nowożytnych zmienił się tor rozwojowy zbiorowego życia ludzkiego, które porzuciło swoje dotychczasowe miary?! Katolicy pozwolili wyrwać sobie inicjatywę z rąk. Świat ludzki wchodził wówczas na drogę szybkiego rozwoju, urządzał się, rozwijał nauki, budował instytucje, układał systemy, tworzył nowe prawa, ale wszystko to działo się nie z bezpośredniej inicjatywy katolików, ani nie z ich bezpośredniej myśli otrzymywało swoje kształty. Z ich strony cztery ubiegłe stulecia były w dużym stopniu „okresem spóźnianej inicjatywy".

Używam celowo rzeczownika „katolicy", a nie „katolicyzm" czy „Kościół katolicki". Nie dlatego, aby rozbijać ową jedność, jaką w sposób nadprzyrodzony treść wszystkich tych trzech rzeczowników razem ze sobą tworzy, ale po to, aby podkreślić, że członkowie owej potężnej duchowej jedności niezupełnie stanęli na wysokości nauki, jaka w owej jedności, z Objawienia Bożego, jest zawarta. Słowem, iż katolicy, składając się na jeden wielki, powszechny Kościół Boży, niedostatecznie pojęli, że *całość* życia ludzkiego jest polem ich obowiązkowej pracy, i że dali sobie na pewien czas i na pewnych zagonach tego pola wyrwać inicjatywę z rąk.

Mogli, co prawda, z gorzką satysfakcją patrzeć na to jak świat oddalając się od „teokratycznego średniowiecza" coraz potężniej się zataczał, jak pijany człowiek, który stracił zmysł równowagi. Ta wątpliwa pociecha nie zmieniła wszakże faktu, iż w wielu wypadkach nie było katolików w pierwszych szeregach społecznego pochodu ludzkiego, a często ciągnęli się w ogonie spraw, które się tworzyły. Najgorsze zaś było to, iż wraz z ich nieobecnością, nieobecna była posiadana przez nich prawda, nieobecny więc był na placach budowy ten jedyny czynnik, który sprawia, że spojona nim budowa jest istotnie pożyteczna i naprawdę trwała.

Powodem tych opóźnień nie był bynajmniej brak wskazań i nauki. Przeciwnie. W sprawach społecznych Kościół powszechny dał wyraźne i dostateczne pouczenia. Lecz Prawda Objawiona jest stale istniejącą, ale tylko propozycją Bożą w stosunku do człowieka. Po to, aby ta propozycja mogła wejść w życie, musi wprzód mieć jego dobrowolną i opłaconą wysiłkiem współpracę. Jest propozycją, która może być przyjęta, lub odrzucona. Nie ulega wątpliwości, iż na polu spraw i urządzeń społecznych spotykała się ona przez całe czasy nowożytne z ociąganiem katolików, zalęknieniem i nawet obojętnością. Niekiedy tak wielką, iż pod jej wrażeniem tragiczni materialistyczni reformatorzy społeczni naszych dni ośmielają się zarzucać Kościołowi brak zainteresowań społecznych, lub wręcz utożsamiać Kościół z interesem każdorazowej warstwy posiadającej.

Taki stan rzeczy sprawił, iż ważne i doniosłe sprawy urządzeń społecznych odbywały się bez *świadomej i kształtującej* woli katolików. W zdaniu powyższym podkreślić należy dwa przymiotniki „świadomy" i „kształtujący". Bo, oczywiście, we wszystkich nowożytnych procesach katolicy byli obecni. Wszak cała dotychczasowa nowożytna historia toczyła się w pewnym sensie i dotąd toczy w obrębie świata chrześcijańskiego. W układaniu się jednak spraw społecznych, i nie tylko ich, katolicy z własnej winy uczestniczyli bardziej w charakterze przedmiotu, niż sprawczego podmiotu, pozwalając dokonywać na swoich społeczeństwach tragicznych eksperymentów przez inspiracje myśli laickiej, która daleka była od Chrześcijaństwa.

POSTĘP OPARTY NA WALCE O — ŁUP

A działy się w tych wiekach sprawy z punktu widzenia społecznego, zaiste, doniosłe. Szły przez te cztery ubiegłe stulecia dwa szczególnie ważne procesy: człowiek coraz wszechstronniej uczył się poznawać i opanowywać siły przyrody, oraz, ucząc się tego, sporządzał coraz doskonalsze narzędzia, którymi mógł produkować coraz większe bogactwa.

Powstały z tego wspaniałego rozwoju stan rzeczy zamiast przynieść człowiekowi ulgę, obrócił się na jego szkodę. Niepomiernie mianowicie wzrosła suma bogactw i dóbr materialnych, ale tylko nieznacznie podniósł się dobrobyt powszechny. Suma wyprodukowanych dóbr znalazła się w posiadaniu niewielkich grup, podczas gdy powszechności z tego bogatego stołu spadały jedynie okruchy. Równocześnie powstała odrębna filozofia, a wraz nią jej praktyczny system wykonawczy, filozofia społeczno - gospodarcza liberalizmu, bardzo pozornie postępowa i humanitarna, w gruncie zaś rzeczy będąca doktryną obrony wytworzonego stanu rzeczy. Doktryna ta przynajmniej w kształcie, który się ustalił, daleka jest od zasad chrześcijańskich, uznaje bowiem zasadę wolnej gry sił materialnych i przenosi na społeczne stosunki ludzkie Darwinowską teorię o prawach silniejszego.

Z tego punktu widzenia dzieje nowożytne można oglądać w postaci szturmowania przez doły górnych, posiadających warstw społecznych hermetycznego się ich zamykania, obrony i odpierania dalszych szturmów „oddolnych", jak się to obecnie pięknie mówi. Owoce odkryć i wynalazków spadają na podołek wąskiej warstwy górnej, która zazdrośnie ich strzeże przed głodnym apetytem warstw dolnych. Nie jest to wszakże tylko apetyt, w wielu wypadkach jest to już wprost głód i nędza, które wytwarzają coraz zuchwalszy nacisk. Ten nacisk bezustannie rośnie i przełamuje w końcu opór obrony: hermetyczny krąg musi się otworzyć i w ten sposób warstwa górna powiększa się o pewną ilość nowych uprzywilejowanych. Ale tylko o pewną ilość. Bo o ile szturm początkowy szedł pod hasłem „równego podziału dla *wszystkich*", w chwili, gdy się zwycięstwo realizuje, piękne hasło zostaje zapominane i wpycha się do góry tylko ta warstwa, która jest najbliżej. Wpycha się i natychmiast zamyka, walcząc przeciw nadmiarowi intruzów.

Hasła rewolucji francuskiej były jak najbardziej powszechne, ale gdy przyszło co do czego, weszła w w krąg przywileju tylko warstwa mieszczańska, zamykając się natychmiast i tworząc bardzo szybko jeden z najostrzejszych i najbrzydszych w formie systemów wyzysku tych, którzy pozostali na zewnątrz kręgu. To samo widać w rewolucji bolszewickiej. Do dziś dnia odmieniają komuniści bez przerwy i przez wszystkie przypadki słowo „lud", ale realną korzyść materialną wynieśli z tej rewolucji tylko ci, którzy byli najbliżej i biurokracja partyjna managerowie kapitalizmu państwowego. Utworzyli oni natychmiast zamknięte koło, które broni zdobytych łupów nowym i okrutnym systemem ucisku i terroru.

„KAMIEŃ FILOZOFICZNY" MATERIALIZMU

Powstała więc analiza procesów historycznych w postaci obrazu zamykających się, szturmowanych i broniących się grup, tłustych, wypasionych brytanów, które walczą o kość z chmarą głodnych kundli. Cały komunizm stoi na tej „genialnej" obserwacji historycznej. Z niej się począł i na niej złamie kark. Wychwycił on w historii społecznej element przeciwstawności interesów, element walki, element nienawiści warstw nieposiadających do warstw posiadaczy. Ludźmi, którzy tego odkrycia dokonali, podrzuciło radosne olśnienie tryumfu: oto „kamień filozoficzny" dziejów, oto klucz, który otwiera zamki wszystkich ludzkich tajemnic! Wynalazcy obrażają się bardzo, gdy się zgłasza choćby najdrobniejsze poprawki, że może to jeszcze nie całe odkrycie, ale hipoteza, przypuszczenie. Nie, to nie hipoteza, ani nie przypuszczenie — to ścisła, wszystko obejmująca nauka! Korona nauk: materializm dialektyczny. Światem rządzi walka-nienawiść, zwycięża ten, kto jest silniejszy.

Zastanawiało mnie wielokrotnie, że materialistów nie detonuje i nie zawstydza pewna prawda, która zawarta jest w krzywiźnie ich bumerangu historycznego. Społeczności ludzkie poderwały się z bytów prymitywnych, w których — jako zasada — przeważały prawa silniejszego. Z trudem i wyrzeczeniem kształciły wyższe formy stosunków i urządzeń, szły naprzód i doskonaliły się. Według materialistów działo się to wszystko po to, aby w pewnej chwili tej drogi wzwyż natrafić na „koronę nauk", materializm dialektyczny i zawrócić nagle znowu wstecz, do punktu wyjścia. Zrealizowana bowiem bez reszty komunistyczna wizja świata, byłaby przecież niczym innym, jak udoskonalonym technicznie schematem społecznych bytów prymitywnych, gdzie przeważała (ale nie w absolutnej zupełności, bowiem człowiek przecież wyrwał się przez jej szczeliny) właśnie owa umiłowana przez materialistów komunistycznych naga walka o kość a następnie „bezklasowe" społeczeństwo kopca termitów. Tryumfalnie rozgłaszana „naukowość" materializmu dialektycznego nie jest żadnym tryumfem, ale jednym z największych głupstw, jakie kiedykolwiek człowiek wymyślił. Naukowość tego „odkrycia" polega na *mechanicznym przeniesieniu praw przyrody na świat ludzki.*

RZECZYWISTOŚĆ ZREDUKOWANA O CAŁĄ WIELKOŚĆ

Cokolwiek bełkoce egzegeza komunistyczna na usprawiedliwienie pominięcia w swoim wykładzie świata olbrzymich obszarów spraw duchowych, człowiek o normalnie zdrowych i zrównoważonych zmysłach widzi od razu, iż ten jej wynalazek „naukowy" z jednolitego zjawiska, jakim jest człowiek, odcina i odrzuca całą jedną i to najważniejszą sferę faktów. Dokonuje się tutaj nieco podobnej operacji, jakiej by się dokonywało, na przykład, gdyby w rzeczywistym zdarzeniu — pisarza siedzącego przy biurku i piszącego poemat, skreśliło się osobę tego pisarza jego pracujący mózg, jego oczy, jego ręce, a zostawiło widoczne tylko biurko kartkę papieru i pióro które po niej biega i kreśli litery.*) Zostałby przekreślony sens, zrozumiałość i prawda zjawiska. Nie mówiąc o tym, iż zupełnie na miejscu byłoby wówczas pytanie, jak to się dzieje, iż samopiszące się na papierze słowa tworzą zrozumiałą treść.

Naukowy materialista nie ustępuje, jak tępy muł, przed żadnymi argumentami. Wskazuje na swoją interpretację dziejów na cykle zamykających się i szturmowanych grup, na chwilę obecną tego schematu i zapyta, czy to wszystko, co on mówi, nie jest prawdziwe. Trzeba mu odpowiedzieć, że owszem, jest prawdziwe. Ale cóż z tego? Po pewnych korektywach metodologicznych można powiedzieć, że ich obserwacja jest prawdziwa. Rzecz tylko w tym, iż *zjawisko objęte nią nie jest jedynym składnikiem istoty spraw społecznych.*

W przykładzie z pisarzem: papier, pióro i atrament są też najprawdziwsze. I prawda jest, że zachowują się również antyhumanistycznie, ponieważ stawiają opór piszącemu, podobnie jak brytany i kundle komunistycznego obrazu walki klas. Któż przeczy, że papier istnieje i ma swoje właściwości? Któż przeczy, że społeczeństwa nie zachowują się w pewnych wypadkach tak, jak komuniści opisują. Cedujemy im to „odkrycie", które od dawna jest naszą wiedzą. Polega ona na uświadomieniu sobie, że natura ludzka jest ułomna, skłonna do złego i pozostawiona sama sobie (do czego ogranicza się materializm dialektyczny), zdana sama na siebie może istotnie tworzyć układy nieludzkie. Papier, pióro i atrament, ułożone nawet na najwspanialszym biurku, nie stworzą same poematu. Jakże więc sam człowiek, pojęty jako jedynie materia, może stworzyć właściwy porządek społeczny?

Aby poemat mógł powstać, musi naprzód być człowiek z twórczym umysłem, wyobraźnią i wolą, a poza tym musi ten człowiek posiadać specjalny dar, który pozwoli rozsypane po całym słowniku słowa ułożyć w porządek, stanowiący poemat. Aby powstał zadawalający system społeczny, musi istnieć nie tylko substancja materialna, z której porządek ów ma być stworzony. Musi istnieć naprzód zasada, jego wzór. Dalej—człowiek, któremu ten wzór będzie ujawniony i objawiony, człowiek obdarzony rozumem i wolą, posiadający ponadto specjalny dar tworzenia z tego wszystkiego organicznej całości. *Sprawy społeczne jak sprawy poematu, mogą powstać w sensowny sposób tylko wówczas, gdy będą załatwiane przy pomocy specjalnego daru Bożego.*

Nasuwa się natychmiast pytanie, czym jest ów dar, ów talent, w sprawach ustroju społecznego?

Takim pytaniem znajdujemy się — oto — na antypodach rozdarcia współczesnego świata, na najdalszych krańcach odległości i przeciwieństw. Darem, który jedynie może stworzyć pożyteczny system społeczny dla ludzi, jest właśnie odwrotność tezy komunistycznej. Nie nienawiść, ale — miłość! Miłość jako Łaska dana człowiekowi i miłość jako rodzaj stosunku człowieka do Boga i do innych ludzi.

ROZPRAWA O MIŁOŚCI

W czasach ostatnich pojawiło się wiele dzieł rozpatrujących przyczyny powstawania i kończenia się cywilizacji, a w ich obrębie różnych systemów kulturalnych. Książki te najczęściej pisali uczeni zdaleka stojący od katolicyzmu wcale nie ortodoksi chrześcijaństwa. Lecz niemal bez wyjątku dochodzą oni do wspólnych poglądów, jeśli chodzi o centralne zagadnienie cywilizacji i kultury: tam, gdzie człowiek nie wychodzi poza obręb czynności służących *tylko* do zaspakajania własnych, jednostkowych potrzeb, poziom życia społecznego trwa na niskim szczeblu cywilizacyjnym; cywilizacja rozpoczyna rość wtedy i od tej chwili, gdy człowiek zaczyna wkładać wysiłek również w rzeczy, które służą nie tylko jemu samemu. A więc w chwili kiedy zaczyna u niego działać bezinteresowność, wyrzeczenie się osobiste — miłość. Toynbee stawia tezę, iż cywilizacje rosły geograficznie wcale nie tam, gdzie dla ich rozwoju istniały sprzyjające, niejako samoczynne warunki, ale tam, gdzie przyroda stawiała człowiekowi opór, wyzwalając w nim ambicje wkładania wysiłku w dzieła wspólne i trudne. A Christopher Dawson powiada wprost, iż cywilizację tworzy religia, zakładając z góry nawet jej kształt.

Wszystko, co człowiek dotąd zbudował twórczego, wybudowane zostało miłością, czyli wyrzeczeniem się. Wyrzeczeniem się egoizmu działania na własną tylko jednostkową korzyść, a oddania go na rzecz korzyści powszechniejszej. Taką obserwację wynosi uczony, posługując się materiałem wyłącznie naturalnym i przyrodzonym. Drożdżami, na których rośnie cywilizacja, jest ograniczenie instynktu egoistycznej walki. To twierdzenie ma i swój wniosek negatywny, oto, że — przeciwnie — przez rozhuśtywanie do walki i niewiści, a ograniczanie miłości, wzrost przechodzi w upadek i dekadencję.

To prawo zostało przez Boga wpisane w samą przyrodzoną naturę człowieka. Przez Objawienie zostało ono wzbogacone całą nadprzyrodzoną wartością pojęć, o których tu mowa. Od chwili przyjścia na świat Chrystusa i założenia przez Niego Kościoła, ten cały proces twórczości społecznej traci swą przypadkowość i niewyrazistość, a nabiera pełnej treści i wyrazistości. Wiadomą się staje, a nie tylko przeczuwaną treść i kształt urządzeń i instytucji, które mają być tworzone. Równocześnie uświadamiana zostaje przez człowieka pełna treść tej siły, która pozwala właściwie budować. Nie jest to już nieokreślone i trudno uchwytne uczucie wyrzekania się, ale wyraźne, aktywne i świadome odczuwanie miłości Boga i ludzi. Poznany zostaje kierunek i cena twórczości społecznej człowieka.

Porządkowanie spraw społecznych ostatnich kilku stuleci odbywało się bez czynnego udziału katolików, którzy zostali zepchnięci, czy dali się zepchnąć na ubocze, zakrzyczeni hałaśliwą myślą materialistyczną. Akcja dramatu społecznego odbywała się bez bezpośredniego, czynnego wpływu chrześcijaństwa. Ten fakt tworzy dramat o niesłychanie zgęszczonej i stale zgęszczającej się intensywności. Postęp materialny rzutuje na sprawy społeczne wzbierający stan pokrzywdzenia i niesprawiedliwości. Pisze o tym katolicki znawca spraw społecznych w sposób następujący: „krzywdy społeczne trzeba radykalnie usuwać zaraz, gdy się pojawią, bo nieusunięte, stają się ranami krwawiącymi i utrzymują stan zapalny w organizmie, grożący ciągle katastrofą". Tymczasem wcale go nie usuwano, nie tylko nie „zaraz" i nie „radykalnie", ale niemal wcale. Na wszelkie nagabywania była stała odpowiedź: „Ależ, patrzcie, biedocie dzieje się coraz lepiej, lepiej, niż dawniej!" Istotnie, w pewnym stopniu standart życia szerokich mas podniósł się. Zważyć wszakże trzeba, iż — po pierwsze — podnosił się nieproporcjonalnie mało w stosunku do ogólnego wzrostu dóbr, a — po drugie — podniósł się — *wydzierany siłą*.

CZYM KOMUNIZM PALI W SWOICH KOTŁACH?

Materializm dialektyczny poczynił jeszcze jedną prawdziwą obserwację. Stwierdził mianowicie, że w procesie szturmowania górnych grup, ich kapitulacji i ponownym zamykaniu się — powstaje równolegle łańcuch wielkich napięć o olbrzymiej prężności i sile. Pod wpływem naporu wód poziom rzeki wzbiera. Powstaje wielka, ale ślepa siła. Zależy od tego, kto przyjdzie ją wyzwalać, czy kipiel wylewu runie na młyny i rozniesie je na części, czy — rozumnie pokierowana — zostanie ujęta w pożyteczne nurty, zdolne poruszać całe zespoły mechanizmów. Jest głęboką tragedią człowieka, że ostatnie, największe ze znanych spiętrzenie rozdrażnionych sił społecznych zostało zaprzągnięte w służbę zła. *Cała olśniewająca kariera komunizmu wyrosła na fałszywej diagnozie i na prawdziwej sile pociągowej społecznego napięcia.*

Jeden z dziennikarzy reżymu komunistycznego w Polsce został przed pewnym czasem wysłany do Paryża dla opisania manifestacji komunistycznych podczas t. zw. „kongresu pokoju". Między innymi przysłał on do swojej redakcji artykuł opisujący pochody uliczne. Artykuł był napisany z pasją i przekonaniem, zwłaszcza w części opisującej pochód dzieci z ubogich dzielnic Paryża. Szły rachityczne, blade i wynędzniałe dzieci francuskie i niosły transparenty z napisem „Wróćcie nam nasze dzieciństwo!" Sprawa na pierwszy rzut oka wydaje się aż nadto przejrzysta: agenci sowieccy pozganiali biedotę dziecięcą Francji, aby poruszyła swoją niedolą polityczny program komunizmu, udając niewiedzę, iż nawet ta francuska nędza jest jeszcze luksusem w porównaniu z katorgą dzieci w Sowietach. Cóż jednak z tej słusznej pociechy? Z objektywnego punktu widzenia fakt nadal pozostaje faktem, że miliony dzieci krajów bogatych są rachityczne, chore i bez uśmiechu.

Od czterech stuleci zaczął się butnie rozpychać po świecie materializm. To on urządzał sprawy społeczne. Komunizm nie jest niczym innym, jak tylko zintensywnioną i udoskonaloną formą tego co się poczynało rodzić już w okresie renesansu. Katolików można winić w tych sprawach jedynie o grzech zaniedbania, o to, że pozwolili, aby sprawy tak ważne miał załatwiać kto inny. Stąd zresztą to źdźbło przykrości przy oglądaniu filmu „Monsieur Vincent". Dlaczego takich filmów nie było przedtem? Wyprodukowane dopiero teraz sprawiają wrażenie — wydartych koniecznością. A to tylko argument na rzecz fałszywej tezy materializmu dialektycznego, iż człowiekowi ustępstwo z egoizmu można wyrwać tylko przemocą. Tymczasem katolicy powinni nosić w swoich duszach prawdę miłości, która daje nieproszona, nie szturknięta, daje z przepełnionego serca, która *zabiega* drogę potrzebom i *uprzedza* je a nie ciągnie się za nimi.

Cała droga najnowszej historii zasłana jest skazami błędów i grzechu, które popełniła pycha, a za nią nienawiść. Komunizm wziął te grzechy i z wielkości ich począł budować swoją potworność. Czy nad owymi skazami nie mogli się byli pochylić katolicy, uleczyć je miłością, ich źródło oczyścić i naprawić, aby stały się dobrem? Konieczne musimy być do tego popchnięci dopiero biczem Bożym?

A nie można się skarżyć na brak rozeznania. Któż mógł nie rozeznawać patrząc na skalę wypadków: technika rozrosła się do gigantycznych rozmiarów, produkcja zaczęła graniczyć z klęską nadmiaru, środki komunikacji spięły świat w jedną całość, w przeciągu jednego stulecia ludność ziemi zwiększyła się dwukrotnie, a zaludnienie rośnie nadal; rodzi się więcej ludzi niż umiera, przeciętny okres życia bezustannie jest przedłużany, uderzeniem jednego roku czy tylko paru lat nieme i zaciemnione dotąd miliony ludów kolorowych wchodzą nagle na widoczność, poczynają mówić i rozpychać się.

Ale nie tylko obserwacje powinny były zwrócić uwagę. Istniały wskazania wprost i ostrzeżenia. Istniała nauka Kościoła, której dwoma zasadniczymi nakazami jest — miłość i sprawiedliwość. W ostatnim dziesiątku lat ubiegłego stulecia wyszła encyklika „Rerum Novarum", jasna i wyraźna. Później poszły bezustanne przypomnienia, nowa encyklika „Quadragesimo Anno", setki enuncjacji, tysiące napomnień.

Opędzano sumienie okrzykiem: „Czemuż więc Kościół nie daje programu?!" Bo to nie jest zadanie Kościoła. Religia daje zasadę, kształt życiowy wypracować musi sam człowiek. Jednostki, a nawet całe grupy porywały się wprawdzie na próby właściwych rozwiązań. Zakładano katolickie ruchy społeczne, organizowano różne typy organizacji społeczno-ekonomicznych, pisane były wyraźne i odważne książki, księża przywdziewali kombinezony robotnicze i szli, niewyróżniani, do fabryk, zakładając wieczorami stuły, a świtami i niedzielą ornat, proboszczowie na terenach wyzięblonych i indyferentnych zamykali się na dziesiątki lat po zapadłych wsiach, walcząc o dusze, a żywiąc się kartoflami i szczyptą soli.

Ale wszystko to były wysiłki sporadyczne, nie dość liczne, nie dość powszechne, aby odwrócić cały nurt. I to jaki nurt!

W świecie katolickim po grzechu idzie jego odpuszczenie, ale i pokuta. Przed katolikami stoją w tej chwili na odcinku społecznym dwie sprawy: ostre i szybkie zwrócenie się ku zagadnieniom społecznym z prawdą, która im została w tych sprawach powierzona, oraz odrobienie zaniedbań przyszłości, czyli zadośćuczynienie. Zadanie olbrzymie, wydawało by się, ponad siły ludzkie. Tyle tylko, że człowiek nie będzie w tym zadaniu sam.

KIERUNEK ZWROTU

Sytuacja jest tedy jasna: sprawami społecznymi, gospodarczymi i politycznymi od kilku stuleci zajmowali się przede wszystkim ludzie owładnięci myślą materialistyczną. Tak doskonale się zajęli, iż w końcu z tej ich majsterki wytworzył się ostry stan zapalny. Począł wybuchać rozruchami i rewolucjami. Nie leczony w swej istocie, ale tylko zaleczany, buchnął w r. 1914 pierwszą wojną światową, po dwudziestu latach zapalił się pożogą jeszcze większą, obecnie zaś kratery zaognień drżą znowu nadmiarem gotującej się lawy. *Wszystkie te wojny to ciąg jednego i tego samego zjawiska.* Po wierzchu pokazuje się ono nam w postaci różnych wojennych rozgrywek, bo zbrodnia ludzka żeruje na takich mętnych sytuacjach, ale w istocie prawdziwą przyczyną współczesnego okresu wojen jest głębokie, prowokacyjno-jaskrawe zwichnięcie równowagi w stosunkach społecznych, gospodarczych i politycznych. To ono to zjawisko powoduje współczesny chaos. Widzialnie zaczęło się z wybuchem pierwszej wojny światowej, a skończy się wówczas, gdy błędy zostaną naprawione, gdy wytworzony zostanie nowy system społeczno-gospodarczy i polityczny, a napięcia zostaną rozładowane *sprawiedliwie*.

System dotychczasowy, który jest systemem materialistycznym, jest nieodpowiedni dla człowieka, ponieważ człowiek nie jest tylko materią. System ten polega na tym, iż akcentowany jest w nim, w systemie liberalizmu społeczno-gospodarczego, nie kierunek i cel, ale technika, sposób dziania się spraw na świecie. Liberalizm gospodarczy (z którego konsekwencji wyrósł system komunistyczny) cel swój określił bardzo mętnie i niejasno, jako „dążenie do szczęścia ludzkiego". System wszakże w praktyce wykazał akurat coś przeciwnego, oparty był na „wolnej grze sił", na prawie silniejszego, co musiało dać skrajną niesprawiedliwość.

System, który po nim powinien przyjść, musi posiadać zaakcentowaną przede wszystkim, zasadniczą cechę — kierunku i celu działania społecznego. Kierunku na *osobę* ludzką. Wszystko, co się dzieje w sprawach społecznych, gospodarczych czy politycznych, łącznie z mechanizmem samego działania się spraw, musi dziać się dla dobra człowieka, pojętego tak, jak go określa religia, podporządkowanego swemu Stwórcy, ograniczonego nakazami moralnymi, istniejącego po to, aby mógł rozwijać pełnię swych możliwości i praw. Wypracowanie i wprowadzenie tego systemu jest pracą olbrzymią, pracą na całe, zapewne, pokolenia. Wykonać ją może jedynie świat katolicki, gdyż w sprawach tych, mimo iż chodzi o zjawiska materialne, warunkiem powodzenia jest przywrócenie spojrzenia religijnego na *wszystkie* wartości ludzkie, a więc i na wartości materialne.

Sądzę, iż rzeczy te trzeba często i wyraźnie powtarzać, aby gnębieni i zrozpaczeni ludzie nie łudzili się, co do sposobu ratunku. Żeby nie łudzili siebie i nie omijali okazji do przypominania innym, możnym tego świata, prawdziwego rozpoznania sytuacji: silną bombą, sprzętem wojennym i doskonałą produkcją można rozbić państwo komunistyczne i zabić sumarycznie całe Politbiuro. Ale nie ma dotąd takiej bomby, która by zabiła problem, chyba, żeby to była bomba rozsadzająca cały glob. A i w ten czas właściwie — nie.

Józef Kisielewski

*) Użyte tu porównanie jest tylko daleką analogią. Autor zdaje sobie w pełni sprawę z zasadniczych różnic treściowych w użytym przykładzie. Używa go jedynie w tym celu, aby na jaskrawym a popularnym zestawieniu raz jeszcze zademonstrować niemoc materialnego tłumaczenia zjawisk ludzkich.

KS. PROF. WALERIAN MEYSZTOWICZ

O ŚWIĘTYM STANISŁAWIE

Ćwierć wieku zaledwie mijało od zgonu św. Franciszka, gdy Innocenty IV z dworem przybył do Asyżu, by u świeżego jeszcze grobu zająć się, między innymi, sprawą wyniesienia na ołtarze biskupa krakowskiego, dwieście lat temu zabitego przez króla. Nie istniała jeszcze górna bazylika, nie był się jeszcze narodził autor nieśmiertelnych w niej fresków. Uroczystości odbywały się w dolnym kościele, w mroku jego niskich sklepień. Do dziś pokazują tam wiszący w żelaznym okuciu kamień, który spadając na głowę modlącej się kobiety, stał się pośrednio przyczyną cudu: wskrzeszenie zabitej miało przeważyć szalę decyzji papieża w sprawie kanonizacji.

Było to w roku 1253. Ludzie ówcześni mieli w świeżej pamięci dymiące zgliszcza Krakowa po pierwszym najeździe mongołów, jeszcze im w uszach brzmiała — jeżeli dać wiarę legendzie — urwana melodia miejskiego trębacza, jeszcze trwała żałoba po poległym pod Legnicą rycerskim dziedzicu polskiej korony. Polska, pozbawiona władzy królewskiej, daleką była od splendorów Chrobrych i Śmiałych; nic nie zapowiadało jeszcze zwycięstw Łokietka, ani późniejszej sławy ostatnich Piastów i Jagiellonów. Żaden polityczny interes, żadna potrzeba pozyskania przychylności potężnego kraju czy możnego władcy nie mąciła sprawy. Stały wobec Kościoła rzetelne cnoty i zasługi zabitego w zatargu z królem biskupa.

Sprawa to już była dawna i doległa: wszak blisko lat dwieście temu rozegrał się dramat na Skałce pomiędzy wielkim, popularnym królem: królem, któremu potomność przekazała dwa tytuły, oba pochlebne: „Szczodry" i „Śmiały", podkreślając dwie cnoty, zawsze i wszędzie mile widziane przez ludy u władców. Dziś już blisko dziewięćset lat od tej chwili nas dzieli, a pomroka dziejów tak gęstą się stała, że nie będziemy chyba mogli nigdy odtworzyć sporu, który poprzedził zabójstwo. Domysły, zmierzające do wtłoczenia króla i biskupa w przeciwne obozy zwalczających się wówczas stronników i przeciwników gregoriańskich, kluniackich reform, nie są przekonywujące: przy bliższym zbadaniu przekazów nie znajdujemy u króla żadnych śladów sprzeciwu wobec Grzegorza VII i nie ma też podstaw, by biskupa o wrogość do zamiarów wielkiego Hildebranda posądzać. Mogły wejść w grę sprawy bliższe im obu, sprawy polskie: nie brak na to wskazówek. Ale nawała mongolska zniszczyła wszelkie archiwa, wszelkie zapisy, z których czegoś bliższego moglibyśmy się o przyczynach zatargu biskupa z królem naprawdę dowiedzieć. Zostać musimy przy domysłach. Wiemy, że Bolesław był dumny. Dość spojrzeć na jego drzewo genealogiczne, by nie odrzucać domysłu o jego gwałtowności: wszak są tam obok Piastów i Ottonów, ruscy bujni waregowie; a po prababce bizantyńskiej porfirogenetce wśród przodków polskiego króla jest i ambitny chłop macedoński, na trupach zakładający dynastię, i okrutny Bułgarobójca i córka karczmarza z Konstantynopola, Wielka Teofanu Starsza. Materiału palnego było dość, by powstał wybuch: co było jego przyczyną — ignoramus. Trudno w tym punkcie nie zgodzić się z opinią nieodżałowanego Jana Rembielińskiego.

Wydaje się jednak, że nie treść zatargu jest najważniejsza. Ważniejszym jest to, że cały naród w tym sporze wypowiedział się — przynajmniej w końcu, kiedy na szalę padło zabójstwo — przeciwko królowi a po stronie biskupa. Naród wypowiedział się z siłą, której nie powstrzymała ani popularność wielkiego króla, ani jego szczodrość, ani powszechne przywiązanie do dynastii. Nie było już dla króla miejsca w Polsce.

Nie bez pewnej słuszności porównywano króla Bolesława, stojącego w zatargu z Kościołem, z dwoma innymi monarchami średniowiecza, którzy musieli się ugiąć przed potęgą kościelną: jak Bolesław w Ossjaku, tak współczesny mu Henryk IV pokutował pod murami Kanossy, a późniejszy o stulecie Henryk II angielski w Canterbury. Niewątpliwie są podobieństwa w tych trzech sprawach. Wszystkie powstały na podłożu silnej i powszechnej wiary, byłyby niemożliwe w społeczeństwach bezbożnych; dlatego może są trudne do zrozumienia w naszych czasach. Ale nie podobieństwo tych spraw jest ciekawe: więcej dowiedzieć się można z różnic, jakie pomiędzy nimi zachodziły. Te różnice tłumaczą niejedno z dziedziny pojęć o charakterze narodów. O charakterach narodowych mówi się tak często i tak powierzchownie, że dziwić się nie należy ludziom, którzy, gdy słyszą to słowo, z góry są do wszystkiego usposobieni nieufnie. A jednak — choć może się wydawać inaczej materialistom i ludziom należącym do narodów jeszcze niesformowanych, jeszcze mgławicowych — charakter narodu, zbiór stałych i prawie niezmiennych cech zbiorowości narodowej, jest czymś realnymi i zapoznanie tego charakteru prowadzić może do straszliwych w swoich skutkach błędów i do pomyłek, za które płacą potem całe pokolenia.

Najmniej może podobieństwa ze sprawą króla Bolesława ma sprawa cesarza Henryka IV. Nie był cesarz w zatargu z własnym narodem, ale z papieżem. Oczywiście poparcie, jakie Grzegorz VII miał w szerokich masach poddanych Henryka IV pozwoliło papieżowi na wykonanie presji, która postawiła cesarza, ze sznurem na szyi, pod murami papieskiego zamku: ale stroną w tym sporze był sam papież, nie naród niemiecki. Pod Kanossą monarcha niemiecki szukał sposobu odzyskania zachwianej przez ekskomunikę władzy: znalazł to, czego szukał; dziś nie brak historyków, twierdzących, że pokuta cesarska była zręcznym manewrem dyplomatycznym, za pomocą którego cesarz chwilowo zwyciężony, przygotował sobie zwycięstwo nad papieżem. Nie Henryk IV, lecz Grzegorz VII umarł na wygnaniu z gorzkimi słowy o tym, jak miłość sprawiedliwości stała się przyczyną jego klęski. Narody patrzyły na zmaganie się cesarza z papieżem z obojętnością, jakby nie będąc świadome, że ich własna wolność zależała od wyniku sporu.

Sprawa Henryka II angielskiego więcej zawiera podobieństw do sprawy Bolesława Śmiałego. W Canterbury, jak i w Krakowie, król był winien gwałtownej śmierci niewinnego biskupa. Anglikom jednak wystarczyła niedługa pokuta króla, by się z nim ostatecznie pogodzić. Ani na chwilę nie pozbawili go rządów. A reakcja przeciwko czci św. Tomasza a Becket, jaka powstała w okresie reformacji, pozwala przypuszczać, że i wówczas, i przed tym, król-zabójca miał swoich stronników w narodzie. Nie było powszechnego poruszenia przeciw bezprawiu; jak Niemcy w Kanossie w ogóle nie doszli do głosu, tak też i angielska opinia w sprawie kanterberyjskiej zbrodni była zamglona i niezbyt wyraźna, pokuta Henryka II była przede wszystkim wynikiem presji kleru angielskiego na króla.

Wygnanie Bolesława Śmiałego nie było dziełem papieża: nie ma śladów jakiejkolwiek akcji w tym kierunku w dość licznych przekazach dziejów Grzegorza VII. Nie widać też, by wygnanie króla odbywało się pod szczególnym naciskiem polskiego episkopatu i kleru, choć oczywiście wykluczyć takiego nacisku nie można. Najbardziej uzasadnioną jest opinia, że jednolita postawa książąt, kleru, rycerstwa i całej ludności, słowem tego, co dziś byśmy nazwali „opinią publiczną", była przyczyną wygnania króla. Jednolite i mocne stanowisko w stosunku do sprawy zostało zajęte od razu; nie był to bunt przeciwko królowi, z którym by król mógł próbować walki: tylko powszechnym stanowiskiem wszystkich poddanych można tłumaczyć to, że Śmiały, któremu nie brakło nigdy energii, który bynajmniej nie był skłonny do uległości i schylania czoła, ustąpił bez walki. Żadne ze źródeł wieści o próbach stawiania oporu przez króla nic nie wie. Tylko zupełne osamotnienie, tylko opuszczenie przez wszyskich, może wytłumaczyć takie postępowanie Bolesława. Tylko jednolita opinia, wypowiadająca się przeciwko zabójcy, mogła takie osamotnienie spowodować. Dlatego wygnanie Szczodrego i Śmiałego króla musimy uznać za dzieło całego narodu.

Nie była to rewolucja przeciwko dynastii: brat królewski objął następstwo po wygnańcu i nie wiemy nic o trudnościach tej sukcesji. Nie przeciwko Piastom, nie przeciwko królowi, lecz przeciwko Bolesławowi stała Polska. Jak stała silnie i konsekwentnie, świadczy sprawa Galla Anonima. Ten obcy Polsce przybysz, prawdopodobnie Francuz, pisał o sprawie św. Stanisława w okresie pomiędzy 1109 a 1117 rokiem, jako oficjalny dziejopis Krzywoustego, bratanka Śmiałego; pisał w czasie, gdy dość świeża była jeszcze pamięć o wygnaniu króla. Gall sam podaje, że po napisaniu pierwszych dwóch ksiąg kroniki obróciło się przeciw niemu wielu Polaków. Domyślać się można, że przyczyną tego była właśnie sprawa św. Stanisława. Być może, że słowo „traditor", którego Gall użył określając Biskupa, nie miało tego znaczenia, jakie ma dziś włoskie słowo „traditore", czy francuskie słowo „traître" — zdrajca; być może, że oznaczało ono wówczas tylko to, co dziś wyrazilibyśmy słowami: „opozycjonista względem władzy monarszej". Semantyka średniowiecznej łaciny może kiedyś orzecze, ale nawet w takim wypadku będziemy mogli jedynie stwierdzić, że Gall nie oskarżył biskupa o zdradę. Pozostanie zawsze faktem, że Gall wypowiada się za królem, że wyraźnie próbuje go bronić; czyni on to zwykle, gdy chodzi o krewnych i poprzedników Krzywoustego; gorszący jest jego stosunek do postępowania Chrobrego z Przedsławą kijowską. Zastanawiająca jest siła protestu przeciwko stanowisku zajętemu przez Galla w sprawie św. Stanisława. Musiał on Polskę opuścić, nie dokończywszy dzieła; a protest przeciwko Gallowi objawia się nie tylko w sto lat później, gdy Kadłubek pisze swą kronikę dla sprostowania opinii Galla. Protest ten trwa jeszcze trzysta lat dłużej, gdy Długosz, znając i wypisując ustępy z Galla, nie cytuje go wcale.

Potępienie zabójstwa św. Stanisława, wygnanie króla, jest czynem, który naród polski uznał za czyn własny. Zapadł on głęboko w świadomość narodu, stał się jednym z tych doświadczeń, które zbiorowa pamięć narodu przechowuje w najgłębszych warstwach poczucia społecznego, których trudno nie uznać za przyczynę sprawczą jednej z cech „tego, co nazywa się charakterem narodowym". Czyn ten zostawił pamięć o stanowisku, zajętym w obronie biskupa przeciwko królowi, o tym, że naród cały wypowiedział się za prymatem rzeczy duchowych wobec rzeczy świeckich. Raz tak zajęte stanowisko wiąże, wiąże nieraz mocniej, niż solenna umowa i przyrzeczenie, niż wygoda lub interes. „La primauté du spirituel" stanie się w narodzie polskim więcej niż zasadą: stanie się cechą charakteru narodowego. Z niej zrodzi się powszechne przyjęcie zasady prymatu prawa przed siłą, powszechne przyjęcie zasady, że nawet w polityce międzynarodowej istnieją zobowiązania, których wykonanie jest niezależne od tego, czy przyniesie ono doraźne straty czy korzyści. Ta cecha charakteru narodowego jest kluczem do zrozumienia polityki polskiej. Może by łatwiej historycy francuscy zrozumieli sens wyprawy wiedeńskiej, gdyby o tej cesze narodowej polskiej pamiętali. A my sami może mniej byśmy mieli niespodzianek, gdybyśmy pamiętali, że inne narody, mające inne dzieje i inne doświadczenia, inaczej, niż my, wybierają pomiędzy korzyścią a obowiązkiem. Nasze przekonanie o prymacie prawa wyradza się u nas w pieniactwo; w mniej groźnych wypadkach prowadzi do przypisywania prawom teoretycznym tak wielkiego znaczenia, że giną w sporach o nie względy na istotne potrzeby praktyczne. Ale to samo stanowisko pozwala nam w sytuacjach napozór beznadziejnych trwać i przetrwać najgorsze opresje; a prymat spraw duchowych przed świeckimi, leżący u podstaw naszej wierności dla religii katolickiej, chroni nas zawsze od konfliktów, rozdzierających sumienia członków innych narodów, gdy ścierają się one z Kościołem.

Gdy szukamy wytłumaczenia tej cechy narodowego charakteru Polaków, musimy szukać w przeszłości narodu. W dziejach naszych niejedno wpłynęło na utrzymanie i pogłębienie tej cechy: wystarczy wspomnieć o naszej pozycji geograficznej na kresach Europy. Ale momentem zwrotnym, od którego charakter polski zaczął się rozwijać w kierunku tego, do czego później doszedł, a czego dziś nawet sowiecki napór przemóc nie może, jest męczeństwo św. Stanisława i zajęte względem tego męczeństwa stanowisko narodu.

Gdy chrześcijaństwo obejmowało Litwę, dawna świątynia pogańska w gedyminowym zamku wileńskim została kościołem katolickim pod wezwaniem św. Stanisława. Spoczęły tam później zwłoki św. Kazimierza. Dziś w tej katedrze, niedostępnej dla cywilizowanego świata, jest podobno muzeum bolszewickie, jak niegdyś, temu lat blisko trzysta, były tam stajnie moskiewskich wojsk najeźdźczych. Zmienne są losy miast i krajów. Ale wśród tych wszystkich niestałych rzeczy, największą ma stałość na ziemi charakter narodu, a szczególnie te jego cechy, które go czynią cennym członkiem wspólnoty narodów chrześcijańskich.

Ks. Walerian Meysztowicz

ZOFIA KOZARYNOWA

DAWNA PIEŚŃ

W poemacie symfonicznym Smetany, który opiewa rzekę Wełtawę, a płynie rzeczywiście jak fale rzeki, raz po raz wraca motyw pieśni wielkopostnej „Stabat Mater" śpiewanej za naszego dzieciństwa. Nie znaczy to, żeby śpiewano ją tylko wtedy, bo i później i teraz, ale melodie nasiąkają raz na zawsze nastrojem pewnych chwil i pozostają im wierne, niosąc te chwile z sobą coraz dalej i dalej w głąb życia. Słowa tej pieśni są surowe i proste.

Wiatr w przelocie skonał chyżym,
Przeniknęła ziemię zgroza.
Krzyż na skale, a pod krzyżem
Stabat Mater Dolorosa.

Tak brzmi pierwsza zwrotka. Czy motyw jej znalazł się w utworze Smetany przypadkiem, dlatego po prostu, że Wełtawa szumiała mu tym samym śpiewem, jaki nam nuci Wisła albo Dniestr? Czy może muzyk wkomponował w swe dzieło melodię znaną i bliską, bijącą ze źródła wspólnej słowiańskiej twórczości ludowej? Tak Chopin w „Scherzo", zwane przez nas „kolędowym", wplótł powracające echo „Lulajże Jezuniu".

Pieśń „Stabat Mater" śpiewano u nas podczas Wielkiego Postu w kaplicy „na górce". Był to właściwie kościółek, mieszczący kilkadziesiąt osób, ale utarła się nazwa kaplicy. Zbudował ją nasz ojciec w umiarkowanym stylu nadwiślańskiego gotyku, z surowego ciosowego kamienia i pięknie spatynowanej cegły, bardziej różowej niż czerwonej. Dach miała gontowy, tak samo jak dwór, oficyny i zabudowania folwarczne, a ciężkie dębowe drzwi otwierało się ogromnym kluczem. To wszystko harmonizowało z otoczeniem, jak gdyby było tworem natury. Kaplica stała w dość znacznym oddaleniu od dworu, ale łączyła ją z nim serpentynowa ścieżka i długi, wąski drewniany most przerzucony ponad ogród warzywny i nad piaszczystą boczną drogę. Wspierały go dębowe pale, wzmocnione dwoma potężnymi podmurowaniami, które wyglądały jak czworogranne baszty obronne. Most był długi na jakieś dwieście kroków i malowniczy, jak bywają mosty drewniane albo kamienne, bez ozdób, których jedyne piękno stanowi prostota linii. Wznosił się lekko ku górze i dochodził do stoku, gdzie zaczynała się ścieżka wycięta zakosami w wesołej gęstwinie zarośli, z których tu i ówdzie tryskały przypadkowo rosnące drzewa, przeważnie brzozy, sosny, osiczyny, świerczyna jasna i młoda, graby liczniejsze w tamtych, wschodnio - małopolskich stronach, niżeli w środkowej części kraju, gdzie często nie rozróżnia się ich nawet od buków. Dołem krzewiły się czarne jagody, gdzie niegdzie świecił w słońcu szmaragdowy mech.

Nasz ojciec wydał surowy zakaz chodzenia na przełaj, chcąc, aby czysto zrównane skarpy szybko zarosły zielenią, ale, choć nigdy nie złapano sprawcy na gorącym uczynku, służba i dzieci niepoprawnie wspinały się i zbiegały wprost po stromym zboczu, osypując z niego ziemię na dróżkę. W pół drogi stała ławka oparta o pochyłość, na górce zaś, gdzie ścieżka dochodziła do ściętego płaskowyża, ustawiono parę ławek na cyplu. Stamtąd cieszył oczy widok na faliste pola i lasy, na rozrzuconą kępami naszą wieś Łozinę i sąsiednią Dąbrowicę z widniejącą wyraźnie w oddali brzydką nową cerkwią, blaszano-kopulastą i otynkowaną biało. Cerkwi łozińskiej, skrytej w gęstym lesie bukowym na niedalekim wzgórzu, nie było widać. Ta cerkiew, drewniana i sczerniała, miała kopułę kostropatą od pokrzywionego pobicia gontowego i przyzby pod przydaszkami, które dodawały jej uroku. Wszystko jedno: nie było jej widać. Krajobraz roztaczający się z naszej „górki" przecinała biała droga, falująca, jak wszystko w podlwowskiej okolicy, jak pola tamtejsze, lasy, łąki i pastwiska.

Z tych, którzy odwiedzali naszych rodziców i lubili przed nabożeństwem siadywać na owych ławkach, któż jeszcze żyje? Chyba Makuszyński, wycofany już — zdaje się — z obiegu. Słysząc raz lekki głos dzwonu dolatujący, po zamilknięciu naszego, z cerkwi w Dąbrowicy, zauważył: „konkurencyjna firma". I miał w gruncie rację. Nasz kościołek miał właśnie za cel odciągnięcie od pobliskich cerkwi tych rzymskich katolików z miejscowej zagrodowej szlachty, którym za daleko było do kościoła parafialnego. Do wojny trzymały się jeszcze fotografie kaplicy, placyku przed nią, cypla z ławkami i gości tamtych czasów. Na wielu zdjęciach widniał fotogeniczny Kasprowicz z napoleońską klinową czupryną albo w rozłożystej panamie. Także pewien lekarz, bez czupryny, bo łysy jak kula bilardowa i otyły, wielki amator i znawca sztuk pięknych, a ponoś i wielki zdobywca serc co go przyprawiło o przedwczesną śmierć z ręki zazdrosnej kobiety. Zawsze ładnie wychodził na zdjęciach Adam Krechowiecki, naczelny redaktor urzędowego organu prasy codziennej we Lwowie, radca cesarski, przystojny, salonowy, gładki, nienagannie ubrany, subtelnie uśmiechnięty. Różni inni też tam bywali fotografowani, mniej lub więcej znani literaci i dziennikarze, ten i ów malarz lub rzeźbiarz, nieznani obywatele wiejscy i miejscy, księża, od zawstydzonego wikarego z dwoma palcami wsuniętymi między guziczki sutanny na piersiach, do wysokich dostojników, bo nawet arcybiskup Bilczewski zaszczycał naszych rodziców przyjaźnią. Na paru zdjęciach widać było wykwintną sylwetkę ks. Dembińskiego, który część życia spędził we Florencji, tłumaczył Ariosta, a nas zadziwiał tym, że nosił pończochy i płytkie trzewiki z klamrami i że naszą matkę całował w rękę, czego nie czynili inni księża, nawet ks. prałat Gnatowski, który dużo bywał i sam przyjmował, a to go osobiście łączyło z naszym domem, że gniazdo Gnatowskich na Ukrainie, Jakimówka, sąsiadowało z siedzibą Szostakowskich (rodziny ojca, po kądzieli), Bohajówką, więc rozmowy z nim wciąż nawracały do nieznanych już naszemu pokoleniu stron, brzęczały nazwami jak Taraszcza, Biała Cerkiew, rzeczka Rośka: obce nam, a przecie swojskie, jak Racławice, Zaosie albo Krzemieniec. Z zaprzyjaźnionych księży wspomnijmy superiora ojców jezuitów lwowskich, ks. Załęskiego, choć należał do wcześniejszych czasów naszego dzieciństwa, a za tych o których tu mowa, kapicznych, już może i nie żył. Ks. Załęski był wysoki, chudy i roześmiany; zostało po nim wspomnienie smakoszostwa, dobrego humoru i dwornych manier. W ojcowskiej bibliotece było ogromne jego dzieło „Jezuici w Polsce".

Wnętrze kaplicy łączyło w sobie surowość z wesołością. Ozdoby ołtarzowe były sprowadzone do minimum: na śnieżnym płótnie ciężkie mosiężne świeczniki, ale żadnych aniołków, figurek, stiuków ani sztucznych kwiatów. Obraz w ołtarzu i malowidła na ścianach były dziełem jednej z naszych ciotek, która należała do nieprzeliczonego zastępu zdolnych i zmarnowanych malarek. Na murach, do połowy wysokości powleczonych brunatną barwą ziemi, kwitły gęsto, bujające aż pod sufit, polne i leśne kwiaty. Malowane za życia Wyspiańskiego i Mehoffera, zapewne wzorowały się na dekoracjach krakowskich kościołów, ale brakło im wszelkiej stylizacji, która mimo wszystko położyła piętno epoki na freskach mariackich czy franciszkańskich. Rosły sobie bezpretensjonalnie, jak prawdziwe powiększone maki i bławaty, jaskry, stokrocie i dzwonki; dla uniknięcia monotonnego efektu nagich łodyg wyprowadzonych wprost z brunatnego podłoża, dołem biegł szlak bujnie rozkrzewionych, złocistych kaczeńców. Sztuka podobno poprawia naturę: na tej zasadzie przedwiosenne kaczeńce mogły współistnieć z późno-letnimi dzwonkami. Niezbyt umiejętne zastosowanie farb klejowych na wilgotnej ścianie sprawiło, że niektóre pozlewały się, a wysychając zbladły, co spowodowało niezamierzone stonowanie, jak gdyby ze starości i mętną, gobelinową miękkość kolorytu.

Obraz w ołtarzu przedstawiał Matkę Boską Siewną na tle miejscowego pejzażu. Szła polem, w białych i błękitnych chustach, a rysami przypominała trochę naszą matkę, która do tego obrazu pozowała. Trochę tylko; nie tak, żeby sprawiać wrażenie portretu.

Ławki z pulpitami nie zajmowały środka nawy, lecz przylegały do ścian, żeby pozostawić więcej miejsca dla stojących. Siedząc po prawej stronie miało się przed oczami brzozę, chwiejącą się w wysokim oknie naprzeciw. Był to zawsze uroczy widok, czy w porze zieleni, czy w jesiennej złocistości, czy zimą i na przedwiośniu, kiedy cienkie, nagie gałązki rysowały się hieroglifami na zmiennym niebie albo osędziałe szronem świeciły jak srebro na błękicie.

Miejscowy nauczyciel miał dźwięczny tenor, kierownik poczty — bas baryton. Jeden z naszych braci grał na fisharmonii. W czasie Wielkiego Postu, kiedy siwiutki kanonik z Janowa cicho przy ołtarzu szemrał i wzdychał, kaplica wypełniała się żałosnym śpiewem męskim. Zawodzili „Gorzkie żale". Potem tę właśnie pieśń, tak wzruszająco wplecioną w szum rzeki poematu symfonicznego Smetany.

Jeszcze stąd, spod Londynu, chociaż to tak, zdawało by się, daleko, widać brzozę chwiejącą się w siwym wietrze, do wtóru melodii „Stabat Mater", której słowa, niedostępne dla dziecinnego umysłu, budziły nieokreślony lęk, jak gdyby przeczucie późniejszych lat grozy, kiedy miały stać się ciałem.

Żadnych jęków, żadnych głosów,
Krew z korony Bożej spływa.
Wobec ziemi i niebiosów
Stała Matka Boleściwa.

Wszystko było proste: te strofy, grzędy kwiatów na murze, przejmujący szept księdza pochylonego nad mszałem i cisza rozmodlona wewnątrz, cisza szeleszcząca na zewnątrz kaplicy.

Po nabożeństwie wychodziło się z westchnieniem, które zwalniało ucisk nieuchwytnych przeczuć, na chłodne powietrze przedkapliczne, jasne młodym słońcem wiosennym albo mętne i pochmurzone, rwane nagłymi podmuchami wiatru. — Stamtąd, bez zatrzymywania się, pędem na dół, na dół, zakosami, w lewo, w prawo, od wiatru, z wiatrem, do mostu dudniącego przyjaźnie. Na moście już bębnił tętent galopujących psów, które skądeś się brały od razu gotowe do radosnych skoków. Czasem stukały twardo raciczki polotnej sarny, oswojonej i chowanej z psami. Świszczący obłok gołębi unosił się i spadał na ganek dworu, foremny ganek na białych słupach, z trójdzielnym załamaniem kamiennych stopni. Teraz już witał powracających gościnny przedpokój, już na prawo ojcowskie pokoje, na lewo przyjemny salonik z wyjętymi drzwiami do dużego salonu, znowu było bezpiecznie, ciepło i jasno, było zwyczajnie i żadna zgroza nie przenikała ziemi. Zapach hiacyntów w powietrzu domowym i zapowiedź Wielkiejnocy: srebrzyste bazie.

Zofia Kozarynowa

W następnych numerach ŻYCIA ukażą się m.in. następujące artykuły: Feliksa Bohdanowicza: „O właściwe pojmowanie Boga", Marii Czapskiej „Taki ród", Jędrzeja Giertycha „Szkocja nieznana", ks. Kamila Kantaka „Słowacki a Towiański", Aleksandry Poleskiej „Eros i Agape", Wojciecha Wasiutyńskiego „Pielgrzym i ignorant", Marii Winowskiej „Tajemnica Krzyża".

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

WIELKANOC, 13 kwietnia 1952.

ŻYCIE „ŻYCIA"

,,The Tablet" założono w r. 1840, ,,Catholic Times" w r. 1859, a dubliński ,,Irish Catholic" w r. 1888. Czymże więc jest 250 numerów ŻYCIA w porównaniu z angielskimi a nawet irlandzkimi tygodnikami katolickimi? Jeżeli pamiętamy jednak, że — oprócz czasopism Polonii w Stanach Zjednoczonych — wszystkie inne czasopisma polskie, nawet krajowe, zostały założone po roku 1939, ujrzymy ŻYCIE w innym świetle. W wieku niemowlęcym w porównaniu z ,,The Tablet", w warunkach polskich nasz tygodnik stał się już pismem o ustalonej opinii. A przy tym przeżył ten jakże trudny dla prasy czas, kiedy upadły np. i intelektualistyczny ,,Horizon" i popularny, bardzo ciekawy ,,The Leader", założony jeszcze w ubiegłym stuleciu. Jak trudna była droga do niniejszego numeru, pokazuje pełna wstrząsów i zmian, nieraz radykalnych, historia naszego tygodnika.

W pierwszym numerze ŻYCIA, datowanym 18-24 maja 1947 r., czytamy w artykule redakcyjnym ,,Do Czytelników":

,,W połowie września 1946 roku wyszedł ostatni numer tygodnika religijnego 2 Korpusu ,,W Imię Boże". Od tego czasu emigracja polska w Wielkiej Brytanii nie posiada ani jednego pisma katolickiego.

Ten niewątpliwy brak pragnie wypełnić ŻYCIE.

ŻYCIE powstaje jako wyraz trosk Ordynariusza Uchodźstwa Polskiego Ks. Biskupa Gawliny o potrzeby religijne emigracji".

Założycielem ŻYCIA byli ks. Kirschke i Jan Tokarski, który redagował pismo a w pierwszym okresie jego istnienia nie tylko pisał kroniki i wiele artykułów, ale wespół ze swą małżonką, p. Janiną Tokarską, zajmował się w ogóle wszystkimi sprawami redakcyjnymi. Pierwszy numer miał 8 stron po 4 szpalty każda i kosztował 6 pensów. W ,,stopce" na 8-ej jego stronie czytamy, że ŻYCIE jest ,,Published by Catholic Publishing Committee. Printed by M. Caplin and Co. Press Ltd., Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey."

Pierwszy bożenarodzeniowy numer (23_33) jest podwójny i kosztuje 1 sh. Odtąd zaczynamy tworzyć zwyczaj wydawania numerów podwójnych na święta, a i do numeru poświęconego pamięci prof. Wacława Borowego dodaliśmy dwie strony.

Pierwszy numer rocznika 1948. od narodzin 34 z kolei, jest mniejszy formatem, choć nadal ma 8 czteroszpaltowych stron. W numerze 4/37, z dnia 25 stycznia, znajdujemy już obecny adres Administracji: 12, Praed Mews, London W. 2 oraz numer telefonu, który obecnie posiada drukarnia: PADdington 9734. W marcu ŻYCIE drożeje i cena od numeru 11/44 (z 14 marca) wynosi 9d. Natomiast dwunastronicowe wydanie wielkanocne (28 marca — 10 kwietnia, nr. 13-14/46-7) kosztuje tylko 1 sh. W stopce numeru 16/49 czytamy, że na Praed Mews przeniosła się już i Redakcja. Numer 19/52 donosi, że ŻYCIE jest ,,Published by Rev. T. Kirschke". Do następnego wydania naszego tygodnika dołączona jest ulotka oznajmiająca, że ,,Veritas Foundation Press" wykonuje wszelkie druki, od wizytówek do książek i czasopism, a numery 23 i 24 są już w niej drukowane.

W tym czasie sytuacja materialna ŻYCIA była tak ciężka, że przejściowo Redakcja musiała zmienić je w dwutygodnik (numery 18/51 do 24/57 włącznie).

Numer 25/58, z 1 sierpnia 1948 r., donosi o dalszych zmianach. Odtąd ŻYCIE drukować się będzie w Belgii przez ,,La Colonne", 22, rue de la Braie — Bruxelles, redaguje je ,,Komitet pod przewodnictwem ks. Tadeusza Kirschke", a wydaje ,,Fundacja Veritas". W numerze 34/63 z 3 października znajdujemy po raz pierwszy obecny numer telefonu Redakcji — AMBassador 6879. Wydanie gwiazdkowe jest, oczywiście, podwójne.

Trzeci rok istnienia rozpoczyna się numerem 80 od chwili założenia pisma. ŻYCIE w dalszym ciągu drukowano w Belgii, cena 8-stronicowego egzemplarza wynosiła 9 pensów, pomimo że zwiększył się format: strony były 5-szpaltowe. Z wydaniem z dnia 13 lutego (7/86) wracamy, teraz już na stałe, do naszej drukarni ,,Veritas Foundation Press", 12, Praed Mews. Pod koniec tego roku wzrasta cena ŻYCIA. Numer 40/119 z 2 października kosztuje 1 sh. i, jak dotąd, udało się uniknąć jej dalszego podwyższenia. Wydanie bożenarodzeniowe (51-2/130_1) liczy 18 stron i kosztuje 1/6 d. Wiosna i lato tego roku przyniosły bardzo ciężki kryzys. Udało się go zażegnać przede wszystkim dzięki pomocy polskich Władz Kościelnych, które działały za pośrednictwem ks. prałata Władysława Staniszewskiego.

W trzylecie założenia pisma Redakcja wydała numer 16-stronnicowy (21-2/152-3 z 28 maja 1950 r.; cena 2 sh), w którym ogłosiła m.in. szczegółowe sprawozdanie z uroczystości wręczenia katolickich nagród literackich, a na Boże Narodzenie znowu wyszedł numer podwójny w cenie 1/6d.

Z początkiem roku 1951 kryzys wzrasta. O papier nie tylko jest coraz trudniej ale jeszcze cena jego wzrasta dosłownie z dnia na dzień. Wreszcie nowy redaktor ŻYCIA, Józef Kisielewski, decyduje się na przecięcie węzła gordyjskiego: numer 13/197 wychodzi w nowym, obecnym formacie, co prawda 6-szpaltowym, ale tylko 4-stronicowym. Decyzja ta była o tyle trudniejsza, że w ciągu roku nie praktykuje się zwykle tak istotnych zmian w wyglądzie czasopisma. Umożliwiła jednak jego kontynuację. W roku tym wydaliśmy zwiększony numer poświęcony prof. W. Borowemu i 8-stronicowy na Boże Narodzenie.

Ilość nazwisk które widniały pod pracami zamieszczonymi w ŻYCIU, jest imponująca. Wymieńmy tylko autorów najwybitniejszych oraz tych, którzy najdłużej współpracowali z tygodnikiem: Jan Adamus, Ignacy Baliński, Maria Belina, Józef Białasiewicz, Jan Bielatowicz, O. I. M. Bocheński O. P., Antoni Bogusławski, Feliks Bohdanowicz, Marian Szyszko-Bohusz, Bolesław Boim, prof. Alfons Bronarski, ks. Feliks Brzózka C. M., ks. Włodzimierz Cieński, Adrian Chaliński, Walerian Charkiewicz, Julian Chróściechowski, Maria Corbridge, Janusz Czaharski, Maria Czapska, Józef Czapski, Maria Danilewiczowa, Wojciech Dłużewski, Julian Dobrowolski, Tomasz Dobrowolski, Włodzimierz Dołęga, Ludwik Dygat, Tadeusz Felsztyn, prof. Władysław Folkierski, Józef Frankiewicz, ks. biskup Józef Gawlina, Jędrzej Giertych, Xawery Glinka, Ferdynand Goetel, Seweryn Leszczyc-Grabianka, Wacław Grubiński, Stanisław Gryziewicz, prof. Oskar Halecki, Marian Hemar, Jędrzej Hierowski, Wacław Iwaniuk, Zygmunt M. Jabłoński, Jan Janiurek, Janusz Jasieńczyk, Józef Jasnowski, prof. Eugeniusz Jarra, ks. Tadeusz Kirschke, Józef Kisielewski, Bolesław Kobrzyński, Zofia Kossak, Janusz Kowalewski, Jerzy Dołęga-Kowalewski, Zofia Kozarynowa, Anatol Krakowiecki, gen. Marian Kukiel, Karolina Lanckorońska, Kamila Leliwa, Teodozja Lisiewicz, ks. Jan Lisowski, Mieczysław Lurczyński, Józef Łobodowski, Andrzej Malkiewicz, Zdzisław Marynowski, ks. Walerian Meysztowicz, ks. Józef Milik, Henryk Mirzwiński, Herminia Naglerowa, Tadeusz Nowakowski, Witold Nowosad, Beata Obertyńska, Jan Olechowski, Teodor Parnicki, Michał Pawlikowski, Władysław Pelc, Maria Petry, Wiesław Pisarczyk, Tadeusz Piszczkowski, Aleksandra Poleska, ks. Michał Poradowski, ks. Jan Przybysz, Bronisław Przyłuski, Wacław Radulski, Józefa Radzymińska, Jan Rembieliński, Marian Emil Rojek, Andrzej Ruszkowski, Michał Sambor, Stanisław Seliga, Teresa Skórzewska, Stanisław Sopicki, Kazimierz Sowiński, Zdzisław Stahl, ks. Władysław Staniszewski, Augustyn Steffen, prof. Stanisław Stroński, Aleksandra Stypułkowska, Bolesław Taborski, Wit Tarnawski, Tymon Terlecki, Jan Tokarski, Janina Tokarska, Stanisław Vincenz, Melchior Wańkowicz, Wojciech Wasiutyński, Jan Wepsięć, Antoni Westfalski, Stanisław Westfal, Jan Winnicki, Maria Winowska, Tadeusz Wittlin, Julian Wiśniewski, Cyryl Wodziński, ks. Marcin Wojciechowski, Tadeusz Zajączkowski, Wojciech Zaleski, Magdalena Załuska, Jerzy Zdziechowski, Wiesław Żyliński, Józef Żywina.

Drukowaliśmy też przekłady takich pisarzy jak: Lorenzo Bedeschi, Jerzy Bernanos, ks. Bessiéres T.J., Paul Claudel, Gilbert Keith Chesterton, Michał Corrouge, Christopher Dawson, Ilia Erenburg, Thomas Stearns Eliot, Graham Green, Juan Ramón Jimenez, Michał Koriakow, Federico Garcia Lorca, Bruce Marshall, Antonio Machado, Thomas Merton, Giovanni Papini, Charles Peguy, Daniel Rops, ks. biskup Fulton J. Sheen, ks. kardynał Eugeniusz Tisserand, Edward Vissers.

Mr Gregory Macdonald był autorem artykułu o prof. Wacławie Borowym, zamieszczonym w numerze 37/221, poświęconym temu wielkiemu polskiemu humaniście, w oryginale, w języku angielskim.

Ponadto, oczywiście zamieszczaliśmy przekłady encyklik i enuncjacyj Papieża Piusa XII, oświadczenia Episkopatu Polski, listy pasterskie oraz liczne teksty liturgiczne.

Obok ,,Kroniki katolickiej", obecnie pisanej przez dr Wł. Jelonka, która, co prawda, zmieniła nazwę, ale istnieje od pierwszego numeru, najstarszym działem ŻYCIA są ,,Zapiski londyńskie". Po raz pierwszy ukazały się one w obecnej formie w numerze 28/107, t.j. z dnia 10 lipca 1949 r. i odtąd ich autor, znany dziennikarz, pisze je do dziś.

Omówienia nowych filmów jako dział ukazują się po raz pierwszy w numerze 7/138 (luty 1950 r.), w którym ich autor, Janusz Jasieńczyk, recenzuje ,,The Window" i ,,Louisiana Story".

Nazwa działu ,,Wśród książek i czasopism" zjawia się dopiero w numerze 21/205 z 27 maja 1951 r., ale omówienia wszelkiego rodzaju publikacji obcojęzycznych ukazywały się od początku istnienia ŻYCIA.

Obok licznych reprodukcji obrazów starych mistrzów zamieściliśmy rysunki następujących plastyków polskich: E. Bartłomiejczyk, K. Białowiejska, J. Bogucka, M. Szyszko-Bohusz, J. Eichler, Wł. Fusek-Torosiewicz, R. Demel, St. Drozd, L. Pawlikowska, Z. Turkiewicz, St. Westfalewicz.

250 numerów ŻYCIA ukazało się przy wydatnej pomocy Wielebnych Księży, którzy zawsze starali się zjednać nam jak największą ilość prenumeratorów i służyli cennymi radami, dzięki Przyjaciołom i Dobroczyńcom, którzy nie szczędzili trudu i pieniędzy, by umożliwić wydawanie i rozwój pisma, dzięki Współpracownikom, którzy w najcięższym okresie zrzekli się honorariów za artykuły i dzięki temu, bez kogo nie mogłoby istnieć najgenialniejsze nawet i najbogatsze czasopismo świata — dzięki Czytelnikowi.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

WYKOPALISKA POTWIERDZAJĄ DOKŁADNOŚĆ RELACJI BIBLIJNYCH. Dyrektorka Brytyjskiej Szkoły Archeologicznej w Jerozolimie, Kathleen Kenyon weźmie udział na wiosnę r.b. w pracach wykopaliskowych w miejscu, gdzie znajdowało się miasto Jerycho, zdobyte i zniszczone przez Izraelitów przeszło trzy tysiące lat temu. P. Kenyon wygłosiła na ten temat prelekcję radiową, którą w streszczeniu podaje ,,The Listener".

Starożytne Jerycho — mówiła — odkryte i zidentyfikowane zostało 80 lat temu w wielkim kopcu, położonym między górami, rozciągającymi się poniżej Jerozolimy, a rzeką Jordan, około siedmiu mil na północ od Morza Martwego. Pierwszym, który rozpoznał mury biblijnego Jerycha, zdobytego przez Jozuego, był prof. Garstang z uniwersytetu w Liverpoolu. W oczach jego relacja biblijna o zawaleniu się murów Jerycha znalazła ,,dramatyczne potwierdzenie". Szczyty murów runęły na zewnątrz i nawet ich fundamenty były skruszone, — słowem ruiny wyglądają tak, jakby spowodowało je trzęsienie ziemi. Nagłe zawalenie się murów miasta w obliczu atakujących Izraelitów opisane jest właśnie w Księdze Jozuego. Są też wyraźne ślady szalejącego w mieście pożaru.

Prof. Garstangowi nie udało się znaleźć w obrębie murów miejskich żadnych nienaruszonych pozostałości budynków, co potwierdzałoby relację o doszczętnym zniszczeniu Jerycha przez zdobywców. Niemniej ekspedycja, w której p. Kenyon bierze udział, będzie próbowała znaleźć jakieś ocalałe zabudowania. Datowanie wykopalisk archeologicznych w Palestynie poczyniło znaczne postępy w ciągu ostatnich lat piętnastu, tj. od chwili pobytu prof. Garstanga, i dlatego tegoroczna ekspedycja liczy na to, że uda się jej możliwie dokładnie określić datę upadku miasta. Wiadomo, że upadek ten nastąpił gdzieś w czternastym stuleciu przed Nar. Chr., między różnymi szacowaniami zachodzi jednak rozpiętość około 75 lat. Cała rzecz ważna jest dla dziejów inwazji Izraelitów na Palestynę.

Wykopaliska wykazały, że na miejscu, w którym wznosiło się biblijne Jerycho, istniały już przedtem cztery inne miasta opasane murami, z których najwcześniejsze sięga okresu co najmniej o tysiąc lat poprzedzającego erę Jozuego, — a już na trzy tysiące lat przedtem ludzie prowadzili na tym miejscu życie osiadłe. Każde pokolenie kolejnych mieszkańców Jerycha budowało swe domy z cegieł, zrobionych z błota, na szczytach domów swych poprzedników.

PAMIĘTNIKI POLITYCZNE ABETZA. Wśród powodzi pamiętników dyplomatów i wojskowych niemieckich, jakie ukazują się od paru lat, nie zabrakło i pamiętników osławionego Ottona Abetza, b. ambasadora niemieckiego w Paryżu, który odsiaduje obecnie karę więzienia skazany przez sąd francuski jako przestępca wojenny. Pamiętniki te wyszły nakładem ,,Greven Verlag" w Kolonii pod tytułem ,,Das offene Problem. Ein Rueckblick auf zwei Jahrzente deutscher Frankreichpolitik".

W książce tej Abetz występuje jako konsekwentny zwolennik polityki porozumienia i przyjaźni niemiecko-francuskiej i narzeka na to, że Hitler i Ribbentrop nie poszli za jego radami w tym kierunku, posługując się podczas okupacji niemieckiej we Francji kolaboracjonistami najgorszego typu.

Do książki napisał przedmowę dr Ernst Achenbach, członek ,,Landtagu" nadreńsko-westfalskiego i przewodniczący komisji spraw zagranicznych Freie Demokratische Partei, a więc stronnictwa o charakterze liberalnym i antyhitlerowskim. P. Achenbach wyraża żal, że Hitler nie polecił Abetzowi poczynienia bardziej stanowczych kroków w kierunku zbliżenia z Francją przed r. 1944. Zdaniem p. Achenbacha odpowiedni moment psychologiczny do tego był w r. 1940, kiedy Francuzi szczególnie rozgoryczeni byli atakiem brytyjskim na flotę francuską koło Mers el Kebir. Słowem p. Achenbach żałuje, że Hitler nie wygrał tego atutu w swej walce o panowanie nad Europą!

STULECIE ,,CHATY WUJA TOMA". Paryskie ,,Nouvelles Littéraires" poświęcają artykuł stuleciu ,,Chaty wuja Toma", — powieści, która ukazała się w r. 1852 i odegrała tak wielką rolę w prądach za zniesieniem niewolnictwa Murzynów w Ameryce. Autorka tej powieści, pani Harriet Beecher Stowe (1811—1896) urodziła się w stanie Connecticut jako córka pastora Lymana Beechera i sama też poślubiła pastora, C. E. Stowe'a. Próbowała swych sił w pisaniu nowel, sławę zyskała sobie jednak dopiero przez ,,Chatę wuja Toma", — powieść, która ukazała się w szeregu wydań w setkach tysięcy egzemplarzy i przetłumaczona została na wiele języków obcych. Wpływ jej na opinię publiczną w kierunku emancypacji Murzynów amerykańskich był ogromny.

PERSOWIE NA UNIWERSYTETACH NIEMIECKICH. Prasa niemiecka donosi z zadowoleniem, że rząd perski, który zabronił studentom perskim zapisywania się na uniwersytety brytyjskie, zamierza na wiosnę r.b. skierować 2.000 młodych Persów do uniwersytetów i politechnik w Niemczech zachodnich. Chodzi tu o wykształcenie dobrych specjalistów w zakresie chemii, medycyny i przede wszystkim górnictwa naftowego. Zapisami na uniwersytety i szkoły techniczne w Niemczech zajmuje się dr Nasser Ali Motazi, który uzyskał przed wojną dyplom inżynierski w Berlinie i jst obecnie jednym z doradców premiera Mossadeka.

,,Sunday Times" notuje, że uniwersytety w Heidelbergu i Moguncji entuzjastycznie powitały napływających studentów perskich, a politechnika w Hanowerze, specjalizująca się w górnictwie naftowym, powiększyła swe sale wykładowe i pomieszczenia dla studentów.

OSOBLIWY CZECH. Nakładem londyńskiej firmy Faber & Faber ukazała się książka pt. ,,Unconditional Surrender", której autorem jest b. pułkownik czeski F. O. Miksche. Autor występuje jako ,,advocatus diaboli" i namiętnie broni Niemiec przed zarzutami, jakie w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu wysuwano by'y przeciw nim przez cały niemal świat cywilizowany. Zdaniem p. Miksche Niemcy ani pod Bismarckiem, ani pod Wilhelmem II i Hitlerem, nie były nigdy tak ,,czarne", jak je malowano; żądanie ich bezwarunkowej kapitulacji, wysunięte przez aliantów w Casablance, było ciężkim błędem, który przedłużył wojnę i spowodował wlanie się Sowietów w środek Europy. Wreszcie płk Miksche wysuwa postulat odbudowania, w tej czy innej postaci, monarchii habsburskiej.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

TEATR, W KTÓRYM GRAŁA MODRZEJEWSKA

Od kilku tygodni trwają prace nad doprowadzeniem do stanu używalności Royal Court Theatre na Sloane Square. Teatr ten, jedyny w tej części miasta, został podczas wojny uszkodzony przez wybuch bomby, która zniszczyła sąsiednią stację kolejki podziemnej.

Royal Court Theatre, mimo swych niedużych rozmiarów, ma za sobą świetne tradycje, jeśli chodzi o reżyserów i aktorów, którzy w nim grali. Tutaj d. 1 maja 1880 r. odbył się pierwszy londyński występ Heleny Modrzejewskiej w ,,Damie Kameliowej". W sezonie zimowym 1880/81 r. grała ona w tym teatrze główne role także w ,,Marii Stuart" Schillera, ,,Adrienne Lecouvreur" Scribe'a i ,,Romeo i Julii" Szekspira. Dopiero w ciągu r. 1881 przeniosła się z Royal Court Theatre (wobec wygaśnięcia kontraktu, jaki miał zespół) najpierw do Princess Theatre, później zaś do Haymarket Theatre. Występy jej cieszyły się wszędzie ogromnym powodzeniem.

Świetny okres rozwoju przeżywał Royal Court Theatre w latach 1904-1907, kiedy reżyserem granych w nim sztuk Szekspira, Shawa, Ibsena i innych dramaturgów by Granville-Barker i kiedy główne role odtwarzała często Ellen Terry.

Wskrzeszony Royal Court Theatre będzie klubem teatralnym, podobnie jak kilka innych małych teatrów londyńskich. Ambicją jego kierowników, jak zapowiadają, będzie podtrzymać dawne tradycje teatru.

AKTORZY CUDZOZIEMSCY W LONDYNIE

,,Equity", związek zawodowy aktorów brytyjskich, ogłosił statystykę aktorów i tancerzy zagranicznych, którzy otrzymali pozwolenie na występy w Wielkiej Brytanii w ciągu r. 1951.

Wśród aktorów i aktorek prym dzierżyli Francuzi, których było 62, potem dopiero szli Amerykanie w liczbie 20, poza tym zaś występowało 2 Argentyńczyków i jeden przybysz z Izraela.

Z innych kategorii najwięcej cudzoziemców, bo 191, występowało w balecie. Tutaj na czele znajdowali się Hiszpanie (57), potem szli Amerykanie (29), Francuzi (20), Norwegowie (18) i Argentyńczycy (18).

Ogółem na występy na scenie bądź też w filmie otrzymało w r.ub. pozwolenie 432 przybyszów zza granicy. Do cyfry tej najwyraźniej nie wliczono Polaków zamieszkałych w W. Brytanii, którzy występują na scenach brytyjskich.

Liryka hiszpańska i szwedzka

GERARDO DIEGO

NASZ OGRÓD

Nasz ogródeczek nie większy od chustki,
ale jak bardzo ku górze wygięty,
zlękniony nieba,
ojczyzny świętej.

Rośnie magnolia z tajemnicą kwiatu,
fryzurą grzywy dotyka akacji.
Obok wystrzela
świerk pełen gracji.

Razem z ogródkiem i nasze kochanie.
spójrz jak się wspina ku niebu w błękitach,
drzewem lub dzieckiem
rośnie, zakwita.

O altano, o ścieżko, o pobudnie.
Sączy się lazur, dzwoni i nie mija.
Ave Maria.
Ave Maria.

z hiszpańskiego przełożył

JAN WINCZAKIEWICZ

LIRYKA SZWEDZKA

Pod powyższym tytułem ukaże się niebawem spory tom wierszy poetów szwedzkich w przekładzie Łukasza Winiarskiego, nakładem ,,Oficyny Poetów i Malarzy".

Tom zawierać będzie kilkadziesiąt utworów współczesnej liryki szwedzkiej z ostatnich trzech dziesiątków lat. Będzie to zaledwie drobna próbka, która może czytelnikowi polskiemu, stykającemu się po raz pierwszy z poezją szwedzką dać pewne pojęcie o tej interesującej i oryginalnej twórczości. W antologii nie została uwzględniona poezja najmłodsza, zaś wiele nazwisk ze starszego pokolenia czeka na tłumacza.

Tacy poeci, jak Hjalmar Gullberg i H. Martinsson należą już do klasyków literatury szwedzkiej i są niezwykle popularni w kołach czytelników poezji i być może nie zostali dostatecznie uwzględnieni w wyborze.

Do przodujących poetek szwedzkich zaliczana jest Karin Boye, zmarła w pierwszych latach wojny i również nieżyjąca już Edith Södergran. Pär Lagerkvist otrzymał w r. 1951 nagrodę Nobla.

W liryce szwedzkiej odzwierciadla się jedna z najbardziej powszechnych cech charakteru społeczeństwa szwedzkiego: niechęć ku efektom zewnętrznym, obawa wszelkiej przesady i wyrazu, wszelkiej ostentacji. Często cecha ta brana jest za oschłość, gdy tymczasem jest to tylko przewrażliwienie i pewnego rodzaju surowość.

Poezja ta ma jeszcze jedną cechę godną uwagi: mimo, że idzie odkrywczo naprzód w poszukiwaniach nowych form, potrafi zachować tę miarę i tempo ewolucyjnego posuwania się i rozwoju, że nie traci swej czytelności dla szerokich kręgów. Dzięki temu m.in. poezja szwedzka jest bardzo czytana i nakłady liryki są większe w 6 milionowej Szwecji, niż w większości krajów europejskich i amerykańskich.

Polacy zamieszkujący ten gościnny kraj na wiadomość o mającej się ukazać antologii zamówili w ,,Oficynie" 100 jej egzemplarzy.

LIRYKA HISZPAŃSKA

Nakładem ,,Oficyny Poetów i Malarzy" ukaże się na Wielkanoc 64-stronicowy tomik przekładów wierszy jednego z najwybitniejszych liryków naszej epoki — Federico Garcia Lorca, poety katolickiego, który został zamordowany w zamęcie hiszpańskiej wojny domowej w ojczystej Granadzie.

Przekładu dokonał Jan Winczakiewicz, tłumacz szeregu utworów liryki hiszpańskiej na język polski.

Pär Lagerkvist

MATKA

Matka wybiegła w noc i mróz
aby z podwórza przynieść
jakąś zgubioną, drobną rzecz.
Teraz ją w świetle trzyma.

To nie jest żaden wielki czyn
choć wiatr urywa głowę.
Lecz tylko matka — inny nikt,
Mogła tak wyjść bez słowa.

Przynieść do domu w zimową noc,
zlodowaciałą na mrozie,
jakąś tam rzecz, ciśniętą precz
gdyż w domu przydać się może.
(1891)

Wystawa prac Józefa Czapskiego

W szwajcarskiej ,,Coopération" ukazał się kilka tygodni temu artykuł Jeanne Hersch, dobrze ujmujący najnowszy okres pracy malarskiej Czapskiego, trudny wysiłek na marginesie całokształtu działalności, wynikającej z troski, by głos Polski nie zamilkł i by nie przestano go słyszeć.

Przytaczamy urywki recenzentki szwajcarskiej:

,,Czapski dzięki Bogu powrócił do malarstwa. W tej chwili w ,,Galerie Motta" (obecnie w Strasburgu — przyp. red.) można oglądać prace ostatnich lat. Całość dawnego dzieła malarza została zniszczona w Polsce, częściowo przez Gestapo, częściowo przez bomby. Zaczyna od nowa.

Przez dziesięć lat nie mógł malować, lecz rysować nie przestał ani na chwilę. Ten wędrowiec nosi z sobą, w głowie, w duszy skarby kultury ścisłej, bohaterów literatury i bohaterów żywych, cytaty dokładne. Nosi także stale z sobą olbrzymią tekę z kilku książkami i gruby zeszyt, w którym tysiąc rzeczy notuje i szkicuje tysiąc twarzy i sylwetek napotkanych w ciągu dnia. Z tych szkiców powstały niektóre z najlepszych jego płócien. Z nich wybrał około 60 rysunków wiszących w galerii.

Na wystawie Czapskiego uderza przede wszystkim różnorodność. W okresie, kiedy wśród artystów utarł się zwyczaj nieustannym powtarzaniem pewnej formuły narzucać swoją identyczność publiczności, którą uspokaja jakakolwiek rutyna, choćby rutyna ekstrawagancji, Czapski daje nam martwe natury, drobiazgową techniką przypominające Chardin'a, a u drugiego krańca karykatury o tonach gwałtownych, stylizowane aż do brutalności. To nie są u niego kolejne ,,maniery".

Kiedy mu się zarzuca, że nie dokonał wyboru między różnymi możliwościami, odpowiada: ,,Cóż na to poradzić, to wypływa z doświadczenia. Gdy w kilku kolejnych płótnach puszczam wodze fantazji, sprzęgło przestaje działać. Muszę nieustannie powracać do studiowania natury. By móc malować moje najswobodniejsze płótna: ,,Lożę" lub ,,Double Cognac", muszę z uległością powracać do ,,Krzesła", ,,Pieca", ,,Cebul"; zacieśniać kontakty. To są moje studia. ...A gdy mu się zarzuca różnorodność, mówi: ,,Lecz jeśli jestem różnorodny? cóż począć?"

Chciałabym, aby wielu uległo czarowi tego dzieła i poczuło, że tu sztuka istotna poprzez sam kolor przemawia ironią i czułością, które zrodziła stała troska o człowieka."

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi ,,crossed" (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £1, w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półroczn. 52 pesos. Przedstawicielstwo ,,Librería Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kulakowska, 15, rue Godfroid de Bouillon, Bruxelles 3 — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo ,,Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mają ,,Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Shiphhorst 2. i Księgarnia ,,Wiedza", Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 $., pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Deroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734